



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. 5 marek

NADZIEJA POSTĘPU. (1)

Wszystkiego możemy się spodziewać dla przyszłości od potężnych umysłów, powołanych do działania wśród okoliczności, różniących się tak niezmierznie od tego, co było przeszłością.

Herschel.

Nadzieja postępu jest uzasadnioną przez to, czego człowiek już dokonał na ziemi, i dwie są drogi, w których kierunku może on, żywiąc tę nadzieję, spoglądać w przyszłość. Rozszerzona wiedza natury i otaczających nas jej zjawisk, to szlak jeden, na którym pokolenia przychodzące po nas mogą osiągać nieznane nam korzyści dobrobytu; z drugiej strony podniesione wpływy nauki, sztuk, literatury, poezji, pojęć religijnych, przedstawiają potęgę, których mocą Ludzkość może się wzmacniać w siłę i panować szczęśliwie nad sobą i życiem, sprawdzając przysłowie włoskie, że wszędzie gdzie jest jasno, jest wesoło.

Niegdyś człowiek lękał się postępu. Sądził, że wdzierając się w tajemnice natury, przekraczając przeznaczony sobie zakres i staje się bezbożnym. Prometeusz, który obdarował Ludzkość iskrą ognia, stał wśród bliźnich swoich pod pretekstem zarzutu bezbożności i zuchwalstwa. Widziano w nim człowieka, nad którym zaciężał za to gniew Zeusa, że odważył się wykraść naturze żywioł światła i ciepła. Długo, długo też jeszcze ludzie lękali się badania tajemnic rzeczy nieznanych, ku którym odważały się sięgać tylko umysły wybra-

ne. Za czasów Edwina, saskońskiego króla Northumbrii, gdy misjonarze niosący światło Religii Chrystusowej zaszli w granice państwa, zwołana została rada szlachty i kapłanów, dla rozstrzygnięcia wątpliwości: czy można lub nie należy ich słuchać? Sam król był szarpany wątpliwością, aż jeden naczelnik klanu podniósł się, aby przemówić. — „O królu! — rzekł — kiedy wieczorem zimowym zasiadasz do wieczerzy w świetlicy ogrzanej i jasnej, mając przy boku swoim rycerzy i służbę, spełniającą rozkazy twoje, a na dworze jest ciemno i mroźno, wicher dmie od morza i śnieg pada, nieraz się zdarzy, że przez podwoje otwarte wpadnie wróbel znęcony światłem. Wpadnie, obleci dokoła, ale utrzymać się tu nie może i wyleci napowrót w ciemność nocy niezbadaną, — i tak dzieje się z nami. Człowiek przybywa na jasność życia z ciemności niezbadanych i odchodzi w ciemność także, nieprzebitą przez oczy nasze, jeżeli przecież ci ludzie obcy coś wiedzą o tem, co jest poza nami i przed nami, dopuść im przyjść tu, aby nas objaśnili także...“ Czy król Edwin usłuchał, lub nie? jest tu dla nas rzeczą poboczną, bo waga myśli naszej powinna paść głównie na to, że wszelki umysł wyższy jest ciekawym i pragnie rozszerzenia wiedzy swojej, co tworzy postęp. Uczony francuzki Comte wyraził się w swoim *Kursie filozofii pozytywnej* (1842) o ciałach niebieskich, że „możemy żywić nadzieję zdeterminowania ich kształtów, ich odległości od ziemi, ich ruchu w przestworze; ale nigdy nie zdołamy zbadać ich kompozycji chemicznej, ich ustroju mineralogicznego“, a przecież rzecz ta została dokonana (w dziele Lubbocka: „Fifty Years of Science“) i nie należy stawiać takich prognostyków, ograniczających wiedzę ludzką, bo nikt nie wie, jaką drogą umysł ludzki może nagle dostać się poza zamknięte dlań dotąd podwoje wiedzy.

Jednak są oceany wiedzy, na które nikt nie wpłynął dotąd, — które od czasów Newtona przed-

stawiają jednakowo przestwory nieznane, i Lubbock dodaje, że gdyby stał na czele uczonych akademij, naznaczyłby jako temat rozpraw konkursowych wykazanie tego, czego nie wiemy: „rzeczy, których nie znamy“. Nikt przecież nie wie, co z tych tajemnic może nam zostać objawionem jutro. Autorprzycacza jako przykład odkrycia Edisona z zakresu światła elektrycznego. Wiedzano od lat wielu jak powstaje, co je zapala; wielu uczonych pracowało mozolnie nad sposobami zastosowania go — ovladnięcia niem, oddania go w moc człowieka — pracowało daremnie, gdy oto jeden mały szczegółik w kierunku tych poszukiwań doprowadził do celu — jeden promień myśli oświecającej dokonał tego. I tak było z mnóstwem rzeczy w dziedzinie wiedzy. W zakresie nowożytnych odkryć ważną dziś rolę gra chloroform, gaz znieczulający, odkryty na początku bieżącego stulecia przez uczonego Anglika, lorda Humphreya, który go nazwał gazem rozweselającym, śmiejącym się gazem. Wszyscy uczeni chemicy wiedzieli o tem, że bez szkody dla zdrowia, czyni on ciało ludzkie nieprzystępnym dla bólu, wykładano o tem z katedr uniwersyteckich, a jednak aż do naszego czasu nikt nie zużytkował go praktycznie. Nie sama wiedza stanowi też o postępie, jest to jakoby podkład; rusztowanie: musi przecież wejść na nie ktoś taki, który spojrzy szczęśliwie w dany kierunek i zawoła, jak Archimedes: Eureka!

Rzymianie jeszcze znali druk; na pomnikach assyryjskich nazwiska królów są widocznie drukowane, trzeba przecież było czekać 3.000 lat, aby błysnęła myśl genialna lania czcionek pojedynczych liter a nie wyrazów, napisów całych. Archimedes jeszcze powiedział, że trzeba mu tylko w przestrzeni punktu, aby oparł tam dźwignię, a ziemię podważy. Tak jest w każdym kierunku: myśl musi trafić na punkt, który byłby jej podporą stałą, a dokona rzeczy wielkiej.

Organa przynoszące nam wiedzę rzeczy są

(1) The Pleasures of Life, by John Lubbock.

bezsilne, bez błysku myśli, któraby wykazała nam sposób użytkowania jej. Lubbock stawia tu długi szereg przykładów. Organizmy zwierząt, bogate w nerwy, dające im wysoką doskonałość myślową, nie przynoszą im jednak korzyści takich, jakie otrzymuje człowiek z tego, co za pomocą zmysłów widzi, dotyka, czuje. Nie zna on jednak dotąd natury tak, jak zna ją zwierzę, bo nie dostrzegamy, nie rozpoznajemy mnóstwa przedmiotów, tak jak on, nie odczuwamy również wielu wrażeń, i ztąd świat przedstawia nam się niewątpliwie innym, niż jest wobec doskonalszych organów widzenia, słyszenia, odczuwania woni, i odbierania wrażeń dotyku. Kto wie: czy świat natury nie jest pełnym dźwięków dla nas straconych—muzyki, która nie dochodzi do nas?—czy na palecie natury niema barw, niewidzialnych dla naszego oka? Gabinety nauk przyrodniczych z wypchanymi zwierzętami, z owadami na szpilkach, z ziołami i kwiatami zasuszonymi w zielnikach,—to jeszcze nie wiedza o tym świecie, wśród którego żyjemy, i trzeba nam inaczej: głębiej, dokładniej, wnikać w jego dzieje, w tajemnice pełniące się na nim życia, jego doskonalenie się i przemian, aby go poznać rzeczywiście. W tym kierunku też postęp przyjąć powinien i można mieć nadzieję, że przyjdzie.

Nadzieja postępu powinna przecież nie ograniczać się do jednej sfery. Postęp jest nietylko w tem, aby człowiek o czemś się dowiedział, coś sobie na używanie materialne i intelektualne przybrał; leży on zarówno i w rozszerzeniu tych wiadomości, tych użytków, wśród największej liczby ludzi. W Wiekach Średnich, na przykład sztuka stała bardzo wysoko, nawet kultura umysłowa i obyczajowa dosięgała sfery bardzo podniosłej, ale to jest wielkim postępem czasów nowożytnych, że owe zdobycze Ludzkości rozszerzyły się, zstąpiły do tych warstw udzkie, które dawniej były ciemne i w barbarzyństwie pograżone. Szlachta też i baronowie w swoich dworach i zamkach, obok pewnych wysoko rozwiniętych cech cywilizacji, wiedli pod innemi względami życie barbarzyńskie i cytowany przez Lubbocka historyk angielski dowodzi, że pod pewnemi względami warstwy te były nawet w stosunku do cywilizacji ateńskiej tem, czem Australczycy do nas. Równowaga w wyrobieniu duchowem to też owoc postępu i tam tylko panuje cywilizacja rzeczywista, gdzie odcięty takich już niema, gdzie zbiorowy człowiek wpływa na cywilizacyjnemi przesiąknął.

Otworzenie jaknajszersze podwojów nauki dla wszystkich, niezamykanie się w zasiekach średniowiecznych—to warunki postępu niemal najważniejsze, bo czyni to postępowi temu miejsce szerokie. Rozwój literatury w kierunkach różnorodnych jest również wielką cechą postępu. Tu Lubbock z miłością i dumą mówi o literaturze angielskiej i cytuje Macaulay'a, który sądzi literaturę swego kraju, nazywa ją najjaśniejszą, najczystsza, najtrwalszą chwałą swej ojczyzny—zarówno bogatą w prawdy filozoficzne, jak w fikcyjne poetów, dodając, że literatura oddziaływała w stopniu trudnym do określenia na wszystko—na cały ruch życia w każdym narodzie, na jego pracowitość, męstwo—na siły jego wszelkie.—Ciało człowieka—dodaje znowu Lubbock od siebie—rośnie i wzmacnia się przez pewną liczbę lat, ale duch jego rość i w siły się podnosić, rozszerzać się może do najpóźniejszego wieku, jeżeli jest dobrze karmiony, podsyćany zdrowo. Potrzebuje on tego na każdym szczeblu wyrobienia.

Postęp idei musi się odbywać wciąż, jeżeli zastój nie ma osiągnąć społeczeństwa; postęp przecież nie oznacza się tylko przez coraz nowe przybieranie sobie pojęć, ale przez doskonałe przetrwanie tego na mądrość, co, używając słów naszego poety, duch wieku chowa w głębi. Postęp przyszłości nie ograniczyć się też jedynie do materialnego rozwoju narodów: nie osiedzić na mieliznie przemysłu i handlu, choć obecnie w tym kierunku zdaje się głównie rozwijać. Są jeszcze nie dość wcielone, nie dość przenikające człowieczeństwo idee, od których przecież świat moralny oczekuje rozwiązania najwyższych zagadnień ludzkości. Anglia—dodaje Lubbock szlachetnie—czuje się dumna ze swoich miast, ze swojego rozszerzonego

wplywu w ziemiach dalekich różnych części świata, ze swego handlu i bogactw, które on przynosi, ale—to jeszcze nie dość: to jeszcze mało, to jeszcze byłoby ubóstwem, gdyby Anglia nie mogła się wywieszyć bogactwem skarbów innych. Moralność i intelektualny rozwój narodu—to jego potęga, to jego dostatek i tytuł do chwały. Hindusi, którzy wierzą w przemianę pośmiertne człowieka, utrzymują, że dusze ludzkie wcielają się po wyjściu z naszego ciała wistoty zwierząt, wyższelub niższe, szczęśliwsze lub nędzniejsze; lecz to jest przecież prawdą, że człowiek ulega za życia przemianom nieustannym, że corano budzimy się lepszą i wyższą, lub niższą i gorszą istotą w miarę tego, jak przeżyliśmy dzień poprzedni. Możemy przez to wczoraj nasze otrzymywać uskrzydlenia anielskie lub być straconymi między pełzające gady.

Życie ludzkie jest otoczone tajemnicą u początku i końca, ale to należy już do pewności, bo jest rzeczą stwierdzoną na wszelkich okazach życia na ziemi, że istnieje postęp, że jest doskonalenie się, jest zatem w nas samych złożona siła, która podnosi wzwyż do szczęścia i dobra.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA.

(Dalszy ciąg).

Dzieci, które zawsze instynktownie Ignęły do niego, uczeły się go teraz z obu stron i puścić nie chciały jego ręk.

Wiliś, jako starszy i rozumniejszy od swojej siostry, podnosił do niego nieustannie główkę, patrzył mu w oczy i pytał:

— Wujku, wujku, co to będzie?... co się mamusi stało?

Tonia zaś obiema rączkami trzymała się jego dłoni i przytulała do niej swoją zapłakaną twarzyczkę w milczeniu z jakimś niemym wyrazem czułości i przestrochu.

Pani Wanda przez ten czas ubierała się szybko, wkładała kapelusz w pośpiechu i zdejmowała go w roztargnieniu, szukała rękawiczek, zapinała i rozpiniała guziki jedwabnego kaftana; w przypadku, czy umyślnie dobrała sobie cały kostium czarny i wyglądała, jakby w żałobie przygotowywała się do pogrzebu, z tą twarzyczką, nabrzmiałą od płaczu, z oczyma zaczerwienionemi od łez.

Kazała zaprządz do powozu.

— Pan pojedzie z nami?... pan nas nie opuści, prawda?—mówiła do Krzysia żalonym tonem.

— A dokąd?—spytał.

— No, do ojca; do kogóż ja mam w tej chwili udać się po radę!... sama zostałam, sama z temi sierotami!

Miała pozór wdowy, której mąż nagle umarł.

Krzyś czoło zmarszczył i usta skrzywił; ta wizyta u ojca z taką niespodzianką wydawała mu się ewentualnością najprzykrejszą.

— Ha, może ojciec wie już o wszystkim—pomyślał—może także list dostał od Karola.

— Zatem pójdźmy—rzekł z rezygnacją—trudna rada. Prędzej czy później i tak musi się dowiedzieć.

Trwało to jeszcze dobrą chwilę, zanim pani Wanda mogła się wybrać nareszcie; traciła głowę, nie wiedziała sama, co robi.

Raz chciała dzieci zostawić, to znowu za nie w świecie nie mogła się zdecydować na rozstanie się z niemi w takiej chwili, skończyła na tem, że je ubrała własną ręką i sprowadziła do powozu.

Krzyś spoglądał na nią z politowaniem i smutkiem, nie odzywał się, nie odpowiadał, tylko patrzył i rozmyślał, a od czasu do czasu sięgał ręką do kieszeni; jakby się chciał przekonać, czy nie wyskoczyły z niej listy Wili i czy są tam dobrze ukryte przed okiem tej biednej kobiety, wzburzonej do głębi i wykołowanej tak po raz pierwszy w życiu ze swej moralnej równowagi.

Jej dziecięcy, słaby, wątły organizm musiał się zachwiać pod brzemieniem nieszczęścia, które na nią tak nagle i niespodzianie spadło.

Kiedy przyjechali do rodziców, pani Wanda poszła wprost do pokoju Lizy i tam, nie mówiąc nic, rzuciła się na kozetkę, zasłoniła sobie oczy chustką i wybuchnęła tłumionem łkaniem, które jej do słowa przyjść nie pozwoliło.

— Co ci jest, co się stało?—pytały ją kolejno zaniepokojone i zdziwione tak niezwykłą wizytą siostra i matka męża.

Zaledwie mogła wyjąkać niewyraźnie wśród łez i szlochania:

— Nie... nie... nieszczęście!..

— Cóż takiego?..

— Ach, moja mamó, moja mamó!.. stało się coś okropnego... ja tego nie przeżyję!

Złe przecucia tknęły macierzyńskie serce Fattowej.

— Zachorował, broń Boże... Karol?—spytała, spoglądając badawczo na Krzysia, błędąc z przeżalenia.

— Gorzej, moja mamó, gorzej...

— Przecież nie...

Nie śmiała dokończyć przypuszczenia, że umarł. Liza pytające spojrzenie zwróciła na brata.

— Powiedz-że, co takiego?

— Uciekł—wyszepnął krótko po chwili wahania; ten jeden wyraz nie chciał mu precyzyjnie się przez gardło. Zdawało mu się, że go samego upokarza takie wyznanie.

Kobiety jednocześnie ręce załamały.

— Uciekł?... dlaczego?... kiedy?... dokąd?..

Nie mogły pojąć znaczenia tej wieści i zrozumieć.

Krzyś odwrócił się ku oknu; wzrok matki i siostry mieszał go, nie śmiał im w oczy patrzeć.

— No, uciekł i basta—powtórzył.

— Ależ na miłość boską, dlaczego?..

— Dlatego, że... że... zbankrutował.

— Karol zbankrutował?!

Fattowa schwyliła się za głowę; była błądą, jak ów muślin, który obregiała właśnie w chwili, gdy weszła synowa z wnuczetami.

Liza nie ruszyła się z miejsca, zdrętwiała pod wrażeniem tych słów.

— Cicho!—syknął niemal opryskliwie Krzyś—ojciec gotów usłyszeć!..

— Bój się Boga, kiedyż to się stało?... czy to możebne?—szepnęła zdławionym głosem matka.—Zkądże wiesz o tem?..

Wyjął z kieszeni na piersiach zmięty list Karola i, podając go matce, rzekł:

— Niech mama czyta, zkąd wiem. To przecież najlepsze źródło... bo od niego samego.

Stara drżącymi rękoma podniosła papier do oczu; próbowała czytać, ale zmieszanie, przerażenie wzrok jej zamgliło.

— Nie mogę... nic nie widzę bez okularów. Liza... weź... przeczytaj!

Dziewczyna ocknęła się, jakby ze snu; machinalnie wyciągnęła rękę po list i jakimś niskim, głuchym, bezdźwięcznym głosem zaczęła czytać:

„Mój bracie! dziś wieczorem wyjeżdżam nagle bez pożegnania z wami, zostawiam całą fabrykę i wszystkie bieżące interesa na twojej głowie. Krach cukrowy mnie zgubił... dziś, jutro, musiałbym pójść z torbami. Straty są kolosalne, ale to nie moja wina, nikt tego nie mógł przewidzieć. Zresztą...”

— Ciszej, nie tak głośno! — wtracił brat z obawy, aby ojciec nie usłyszał. Chciał mu jak najdłużej oszczędzić tego czasu.

Pani Wanda z twarzą zakrytą szlochała na kozetce. Fattowa zamknęła oczy, jakby dla większego skupienia uwagi, i słuchała z bijącym sercem; powieki jej drżały, a wargi poruszały się kurczowo. Całą siłą woli powstrzymywała się od płaczu.

Liza trochę ciszej, prawie szeptem, czytała dalej:

„Zresztą, nie znasz się jeszcze na spekulacjach, abyś to mógł zrozumieć. Dość na tem, że grozi mi niechybna ruina, a nie pozostaje nic innego, jak... śmierć, albo ucieczka w tak fatalnych warunkach.“

Zatrzymała się znowu, tchu jej zabrakło.

Zaczerpnęła pełną piersią powietrza i zaczęła czytać nanowo:

„Wiem, że mnie większość potępi; to już taki los wszystkich bankrutów, — i ja sam sobie będę miał wiecznie do wyrzucenia, że przezemnie wy wszyscy musicie ponieść straty niepowetowane, ale chciałem jak najlepiej dla was i dla siebie. Nie udało się... Ojciec...“

Nie mogła odcyfrować następnego wyrazu, przy którym widocznie piszącemu pióro silniej zadrażało.

— „Ojciec...“ co tu jest?... „ojciec...“

W tej chwili czyjaś ręka sięgnęła przez jej ramię i odebrała od niej trzymany papier, a jednocześnie cichy, zduszony i jakby ochrypnięty głos starego Fatta zabrzmiał w pokoju:

— Pokaż, może ja doczytam...

Te słowa, wymówione niby spokojnie, jednak jak z rozbitej, czy zgniecionej piersi starca, padły wśród ciszy złowrogo i dreszczem przejęły wszystkich.

Zasłuchani i zajęci sobą nie uważali, że od kilku chwil w swoim oliwkowym, długim surducie i zamszowych pantoflach, oparty o laskę stał we drzwiach stary ojciec i cichutko wsunął się do pokoju, w którym ta familijna scena się odbywała.

— Ojciec! — odezwały się nagle strwożone głosy kobiet i Krzysia.

— Daj, daj! — szeptał stary Fatt i jego żylasta, spracowana, gruba ręka zabrała list z drżących paluszków Lizy.

Kiedy to mówił, głowa mu się lekko trzęsła, jak wierzchołek dębu wiatrem muskany; twarz miał gliniastego niemal koloru, zpod ściągniętych i zwichrzonych brwi prawie nie widać było jego głębokich, stalowych oczu.

Laska mu z rąk wypadła, ale nie zrobił nawet ruchu, aby ją podnieść, zdawał się nie uważać tego, jakby mu już tej podpory nie było więcej potrzeba.

Nie spojrzawszy nawet na nikogo, utopił wzrok w liście trzymanym obiema rękoma tuż przy samych oczach, odwrócił się i swoim ciężkim, powolnym krokiem, suwając zgiętymi w kolanach nogami, wyszedł znowu temisamami drzwiami, przez które wszedł przed chwilą.

Zniknął im z oczu, jak widmo, nie jak żywy człowiek, i pozostawił po sobie wrażenie czegoś, co przeraża i do ziemi przybija.

To niespodziane zjawienie się, ten spokój okropny jakiś, brzmienie głosu, jakiego nigdy jeszcze nie słyszeli z ust ojca, ta twarz chmurna i groźna, lakonizm w słowach, wszystko zapowiadało burzę, która powstrzymana gwałtownie powinna była wybuchnąć lada chwila...

Najdotkliwszy, najcięższy cios ze wszystkich uderzał w niego jednego, w niego, który tak wierzył, tak ufał swemu najstarszemu synowi i tak wysoko postawił go w swojej opinii, któremu oddał wszystko w ręce, honor i majątek starej firmy, cały był materyalną rodziną, całą moralną odpowiedzialnością za nią.

I nagle taki zawód, takie rozczerowanie takie zbudzenie!...

Szedł, aby przywitać synową i wnuczęta swoje w pokoju Lizy, posłyszał szlochanie i rozmowę żony z Krzysiem; zatrzymał się u drzwi i dowiedział bez przygotowania o tem, co chciano przed nim ukrywać.

Los nie oszczędził starego serca ojcowskiego: uderzył w nie brutalnie z całą siłą, jakby za karę, że zanadto było powolne dla swego wybrańca i przeceniało jego wartość.

Teraz miał w ręku list Karola, niby akt oskarżenia, niby zeznanie jego winy.

Szedł i czytał; ręce mu drżały gwałtownie, papier szeleścił w palcach, litery migały w oczach, widział tylko pojedyncze wyrazy, ale chciał sam,

na własne oczy przekonać się i dowiedzieć o wszystkim.

Krzyś pośpieszył za nim niespokojny, zanim matka i siostra przestraszone zdołały się opamiętać i zawołać:

— Idź za ojcem!...

Dopadł go prawie u samych drzwi gabinetu: zlekka z czułością dotknął jego ramienia, jak gdyby podeprzeć chciał ślaniającego się starca.

— Daj pokój!... zostań.

Powstrzymał go ręką i odsunął.

— Zostań! — powtórzył jeszcze raz silniej, niemal rozkazująco, i wszedłszy sam do gabinetu, zamknął za sobą drzwi na klucz.

Krzyś posłuszny woli ojca nie ruszył się z miejsca, stał dłuższą chwilę, trąc rozpalone czoło dłonią, nasłuchiwał, potem lekko na palcach wrócił do pokoju Lizy.

— No i cóż?... ojciec?...

— Zamknął się, chce być sam.

— Cóż robi?... nie widziałeś?... przecież go nie można zostawiać tak samego!...

— Nie znacie ojca, czy co?... wiecie dobrze, że sprzeciwiać mu się nie wolno, zwłaszcza w takiej chwili. Trzeba mu dać pokój, niech się oswoi z tą sprawą.

— Boże, Boże!... żeby mu się tylko co złego nie stało! — biadała Liza; oczy miała suche, ale w głosie czuć było łzy.

Pani Wanda, ulżywszy sobie płaczem, zaczęła cicho opowiadać matce szczegóły przyniesionej wieści; mieszało się jej wszystko, dzień wczorajszy z dzisiejszym, interessa, których nie znała, z domysłami majątkowej ruiny, ubolewania nad biednym Karolem, skargi na niego, rozpaczliwa rezygnacja z nadzieją powrotu męża.

— Ach, mamó, mamó, jakam ja nieszczęśliwa!... — powtarzała raz po raz — żebym chociaż była z nim razem uciekła!... Nic nie rozumiem, mama wie przecież, że on się nikomu z niczego nie zwierzał. To nie tak, jak ja: z każdym głupstwem szłam się radzić do niego. „Babę się na interessach nie znajdaj!...“ — zawsze mnie tem zbywał, a teraz... teraz — co ja pocznę nieszczęśliwa!...

W drugim kącie stał Krzyś z siostrą; nie mówili do siebie, tylko oboje patrzali w ziemię, każde zadumane głęboko i na swój sposób.

Od czasu do czasu padło między nimi jakieś urwane słówko i rozsypywało się w milczenie.

— Cóż teraz będzie? — spytała wreszcie Liza. Zamiast odpowiedzi brat wzruszył ramionami i krótko mruknął:

— Żle.

— Nie podałeś ci swego adresu?...

Ruchem głowy zaprzeczył.

Dziewczyna wysunęła się z pokoju i poszła pode drzwi ojca.

W gabinecie było cicho; przybliżyła oko do dziurki od klucza i zajrzała.

Naprzeciw drzwi stało biurko, przy którym siadywał stary Fatt, ale teraz nie było go na zwykłym miejscu.

Przyzwyczajona była od dzieciństwa do rygoru i szanowania woli ojca, który dla młodszych swoich dzieci był raczej surowy, niż pobłażliwy.

Wróciła, taksamo, jak Krzyś, na palcach, aby się nawet szelestem sukni nie zdradzić, że podglądała.

Wielkie nieszczęścia podobne są do trzęsienia ziemi; ogłuszają, odbierają w pierwszej chwili przytomność i wstrzymują wszystkie funkcyje w człowieku. Zamiast myśleć o ratunku, wyczekuje się z jakąś natężoną uwagą czegoś nieokreślonego, jakiegoś drugiego uderzenia, jakby dalszego ciągu katastrofy, — nasłuchuje się, czy nowy grom nie ryknie silniej, czy przyczajony orkan nie wybuchnie powtórnie.

Ta niepewność chwilowa silniejszą bywa od świadomości spełnionego faktu, a dopiero gdy minie, gdy się ułoży, przychodzą rozpaczliwe skutki pierwszego wstrząśnienia, rozpatrywanie się wśród gruzów, szarpiący ból i troska, jako reakcja odebranego ciosu.

I wtedy, jak przy wielkich ranach po stłuczeniu, zaczynają dolegać coraz mniejsze, odzywać się coraz drobniejsze okaleczenia i szramy, piec i boleć, i przypominać się jedna po drugiej, aż do

najmniejszej, której się z początku nawet nie zauważyło.

W takim moralnym stanie znajdowała się cała rodzina Fattów, zebrana w panińskim pokoiku Lizy, z wyjątkiem starego ojca.

Siedzieli przybici, zgnębieni, oszołomieni pierwszemi wrażeniami, jakby wyczekując, czy ta rzeczywistość nie jest tylko snem przykrym i męczącym, jakimś okropnem, przywidzeniem, zmorą, która w jasny dzień spadła na nich wszystkich.

I tak upływała im godzina za godziną...

Od czasu do czasu tylko któreś z nich nieśmiało, z coraz większą niespokojnością, z coraz silniej bijącym sercem podkładało się pod drzwi ojcowskiego gabinetu i wracało zawsze z jedną wiadomością:

— Cicho, nic nie słychać.

Wiedzano tylko, że nie omdlał, nie padł bez zmysłów pod obuchem losu, że mu się fizycznie nie stało.

Krzyś widział ojca przez dziurkę od klucza, siedzącego przy biurku z głową wspartą na obu dłoniach, pogrążonego głęboko w myślach, których treść łatwa była do odgadnięcia.

Siedział jak martwy, ale żył.

Lizie przyszedł pomysł użycia pośrednictwa dzieci do wyrwania ojca z tego niebezpiecznego stanu kontemplacji i wywabienia go z zamkniętego gabinetu.

Po kilku godzinach wyczekiwania nadaremnie, posłała Wilusia i Tonię, aby się z dziadkiem próbowali rozmówić.

Chłopak stanął poddrzwiami i swoim małym paluszkami skrobać zaczął o nie, najpierw nieśmiało, pocichu, potem coraz głośniejsze, aż wreszcie swą drobną piastką jął natarczywie się dobijać, wołając:

— Dziadziu, dziadziu!... niech dziadzio otworzy. To ja, Wiluś!... co dziadzio tam robi tak długo?

— Dziadziu!... — sekundowała mu swoim cienkim głosikiem Tonia — dziadziu, otwórz dziadziu!...

Zwewnątrz nie było żadnej odpowiedzi.

Niech dziadzio otworzy, bo Wiluś będzie płakał! — wołał chłopak, nie zrażony milczeniem, a Tonia, wspinając się na paluszkach, jakby swą buzią dostać chciała do samej klamki, łypiąc powiekami i przykładając usteczka do drzwi, wołała na cały głos:

— I Tonia też! Tonia też będzie płakać...

To zakłęcie musiało być silniejsze od wszystkiego, bo po kilku chwilach, klucz w zamku zakrzypiał i przez odemknięte do połowy drzwi wyjrzał stary Fatt, pogłaskał ręką po głowie swoich faworytów i rzekł:

— Idźcie, idźcie do babci i do mamy, nie przeszkadzajcie mi.

— A przyjdzie dziadzio do nas? — pytał chłopak, uczepliwszy się ręki dziadka.

— Przyjdzie.

— Zaraz dziadzio przyjdzie?...

— Trochę później.

— Kiedy później?

— No, później... Bądź grzeczny, zaprowadź Tonię do mamy i zostań tam.

— Bo może dziadzio tak zwodzi tylko?...

Stary odsunął lekko wnuczkę, który chciał się wcisnąć do jego gabinetu i przymknął znowu drzwi, szukając samotności.

— Idźcie, idźcie, dajcie dziadkowi pokój. Dziadzio ma o czem myśleć.

Przez zamknięte drzwi chłopak, uspokojony nieco widokiem dziadka, wołał:

— No, to Wiluś pójdzie; całuję dziadzie!

I usteczkami dotknął drzwi, jak gdyby ten pocałunek miał przedostać się na drugą stronę.

Siostrzyczka jego, przywykła we wszystkim naśladować starszego brata, poszła za jego przykładem i gorącego całusa wycisnęła na drzwiach z uroczyście powagą, wołając:

— I Tonia też!...

Nie chciała być gorszą od Wilusia.

Za powrotem do matki opowiadały z tryumfem, że widziały dziadzie, że je dziadzio po głowie pogłaskał i przyrzekł nadejść niebawem, jak „się wymyśli“, a teraz nie kazał sobie przeszkadzać.

Pani Wanda płakała nieustannie; wzruszenie to rozstrajało coraz bardziej jej nerwy, chwila- mi była blizką omdlenia, musiano ją ratować i cucić kolońską wodą; skarżyła się na szalony ból błowy, na bicie serca; chciała wracać do domu i położyć się, ale jej nie puszczano w takim stanie rozdrażnienia.

— Zostań, uspokój się — mówiła Liza — przecież musisz się rozmówić z ojcem.

— A może on tam wrócił? — odpowiadała na to, nie mogąc się żadną miarą rozstać z myślą zobaczenia męża po ucieczce, którą uważała za- wsze jeszcze za pozorną jedynie.

Krzyś podjął się pojechać do domu i do fa- bryki.

— Zobaczę, co się tam dzieje — mówił — i wró- cę natychmiast.

— Jedź, jedź, ale wracaj!..

Trzy kobiety zostały same.

W domu nie było nic nowego, w fabryce również machyna puszczona raz w ruch szła jeszcze w po- rzadku.

Wiadomość o ucieczce głównego szefa nie prze- dostała się do jego podwładnych i na miasto. Nie- obecność Karola w kantorze, tak częsta w osta- tniech czasach, nie zwracała i dzisiaj większej uwagi, przyzwyczajono się do zaniedbywania obo- wiązków przez pryncypała.

Krzyś powrócił do rodziców, wysławszy tylko telegram do Pęczińskiego, aby bezzwłocznie przy- jeżdżał z Burakówka. Zdawało mu się, że ten najstarszy i najwierniejszy przyjaciel i sługa ich firmy będzie im potrzebnym i pomocnym w ta- kich ciężkich przejściach, które ich czekają lada chwila. Chciał mieć blisko kogoś z prawdziwie życzliwych i zaufanych; znał zresztą przywiza- nie ojca do dawnego inkassenta i spodziewał się zasięgnąć od niego niejednej wskazówki co do fatalnego stanu interesów cukrowni.

Pomimo przyrzeczenia danego wnukom stary Fatt nie śpieszył się ze swego gabinetu; zamknął się ze swymi myślami, jak z rojowiskiem gryzą- cych żmij, które go oplątywały i kłuły swymi żą- dłami w głowę i serce.

Nie chciał mieć świadków tej strasznej męczar- ni, którą znosił; chciał wycierpieć wszystko sam i walczyć w odosobnieniu z tą hydrą bólu, co się rzuciła na niego znienacka.

Nareszcie pod sam wieczór otworzyły się drzwi gabinetu i Fatt *sen.* wyszedł z nich krokiem przyspieszonym; na głowie miał swój duży słom- kowy kapelusz Panama, pod pachą tekę z papie- ram.

Stare artrytyczne nogi stawiał z jakąś dziwną for- są, jakgdyby przymuszał je do energicznego kroku i siłą woli przewycięzał długoletnią nie- moc; twarz miał napozór spokojną i nieruchomą, tylko zdawało się, że mu cera jeszcze bardziej pociemniała i zmarszczek przybyło, a oczy za- padły głębiej w swoje doły pod krzaczystymi brwiami.

Przygarbiony był więcej, niż zwykle i posta- rzały, ale w ruchach miał jakąś gorączkową ży- wość, a w całej fizioognomii surową powagę, która imponowała swoim skupieniem.

Wszedł do pokoju Lizy, jakgdyby nie zważał na nikogo, i nie wyszedł ztąd o południu przybity moralnie ze sromotnym listem syna w rękę, jakby przez tych kilka godzin nie przeszła ponad jego głową najstraszniejsza burza i jakby nie wiedział o niczem.

Głosem pewnym, choć przyciszonym spytał:

— Gdzie tu jest moja laska?..

A gdy mu ją Krzyś podał, zdumiony tą niespo- dzianą zmianą i zapytaniem tak pospolitej natu- ry, skinął na niego głową i rzekł:

— Pójdź ze mną.

Kobiety patrzyły na niego wyczekująco i ba- dawczo; nie miał dla nich ani jednego spojrzenia. Inne ważniejsze myśli zaprzętały mu głowę.

Zwrócił się ku wyjściu bez pożegnania.

— Ty chcesz wyjść, Wilhelmie? — odważyła się spytać go żona.

— Wychodzę.

— A dokąd?.. o tej porze?..

Odwrócił głowę, spojrzał jej bystro w oczy a po chwili spokojnie, ale z naciskiem odparł:

— Tam, gdzie jestem potrzebny; do fabryki!.. Jeszcze raz skinął na Krzysia i wyszli obaj w milczeniu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Marya Galeron de Calonne.

Życie przedstawia nieraz dramata dziwnie bo- lesne i zdaje się jakgdyby jakieś fatum okrutne przeznaczało pewnych ludzi na ofiary cierpienia, na które nic i nikt pomódz nie może. Kalectwa dotykające młodość w tej chwili właśnie, gdy jak kwiat, otwierający kielich do słońca, zwraca wzrok i myśl ku tej widowni świata, na której wśród tłumów ludzkich działać, pracować, życia kosztować pragnie — to rzecz tak ciężko bolesna, że trudno ją oddać przez słowa. Jest to czara odjęta od ust, zanim napój pokosztowanym został i gdy istoty, w podobny sposób nieszczęśliwe, zatruwają się goryczą cierpkiego żalu na prze- znaczenie swoje — gdy w piersi ich nurtuje uczu- cie zazdrości dla szczęśliwszych, trudno jest naj- surowszym nawet Katonom podnieść kamień, któryby je karząco ugodził. Gdy przecież dzie- je się przeciwnie: gdy takie nieszczęście, takie odcięcie od świata, od ruchu żywego życia, daje smętne cofnięcie się w głąb siebie i staje się poe- tycznym wyrazem melancholii cichej i łagodnej, przedstawia to obraz, mogący wzruszyć sympatycznie, i takie też wrażenie wywiera, takie uczu- cia budzi młoda poetka francuzka, ociemniała i ogłuchła: Marya Galeron de Calonne.

Córka uczonego człowieka, członka uniwersy- tetu paryżskiego, zdaje się, że sierota bez matki, bo pisma francuzkie nie o niej nie wspominają, uległa takiemu losowi. Wyrosłszy właśnie z dziecka na dziewczę, zaczęła z wolna tracić wzrok, zaczęła tracić słuch, aż oczy jej zasły w końcu mgłą, która zasłoniła jej świat cały — zasłoniła oblicza ludzkie, o których poeta nasz woła, iż miłsze są „niż kwiaty na ziemi obszarze“, a dźwię- ki dochodziły ją tylko przyciszone, niewyraźne.

Można było przypuścić, że jest to skazanie na życie samotne bez pociech miłości, bez szczęścia podanej sobie ręki, któraby jej pomogła iść przez życie; ale był w niej wdzięk słodczy i spokoju, który pociągał serca, był wyższy polot umysłu, była przytem uroda, pociągająca oczy, i została pokochaną. Kochająca także, poszła za męż, wyznawała się głośno szczęśliwą, macierzyństwo przyniosło jej nową uciechę i pociechę życia, a choć nie mogła ujrzyć nigdy dzieciątka swego, mogła je czuć przytulone sobie do serca i to życie, aczkolwiek pokrzywdzone przez los, nie było jednak wydziedziczone ze szczęścia, gdy nagle uderzył w nią cios okrutny. Straciła dziecko; umarło ono na jej rękach, biedna matka nie wie- działa kiedy zamknęły się oczęta, nikt nie śmiał jej powiedzieć, że nieruchomość nie jest snem, z któ- rego się przebudzi, aż zdrętwiałość i zimno śmierci wydało jej okrutną tajemnicę.

Bolesć, wśród której cięższą się teraz stała sa- motność tych chwil, które mąż dla obowiązków swego zawodu musiał przepędzać za domem, otworzyła jej w piersi źródło poezji. Do niej zwróciła się po odrobinę pociechy — po chwilę możliwego zapomnienia i stworzyła się książka, tomik, wyszły świeżo w Paryżu pod smutnym ty- tułem: *Dans ma nuit*. Przecież niema tu skarg gorzkich, niema bolesnego szamotania się z losem swoim, wyrzućów hardo ciskanych Bogu. Wpra- wdzie to życie smutne ma pociechę, ma skarb drogi, który może wiele nagrodzić i starczyć za wiele — ma wierną zawsze miłość ukochanego człowieka, do którego pisze po tytułem: *A toi*.

Słońce! nie dla mnie świeci blask twój złoty,
Lecz luna jego dochodzi mnie biała...
Pociech mi trzeba dla mojej tęsknoty;

Słońce! nie dla mnie świeci blask twój złoty,
Przecież mi ciepło twoje nie przepada...

Nie dla mnie kwiatu róż krasa bogata,
Ale nie próżne jeszcze moje dłonie:
Co mi koloryt!.. Chcę znać duszę świata!...
Nie dla mnie kwiatu róż krasa bogata,
Ale mam róży balsamiczne wonie. —

Nie widzę oczu twoich, ukochany!
Ale promienie czuję twego wzroku.
To jak całunek twój, ustom mym dany;
Nie widzę oczu twoich, ukochany,
Lecz wiem, że miłość jaśnieje w twym oku.

Noc mnie otacza, ale mi nie ciemno,
Bo w sercu na dnie promieni wesele,
Póki za miłość mam miłość wzajemną,
Choć noc otacza jeszcze mi nie ciemno,
Tak wiele światła mam w duszy — tak wiele!

M. I.

Notatki pedagogiczne.

Uczuciowość jest siłą ducha, wielkiego, ogro- mnego znaczenia dla życia.

Uczucie w sercu młodem rozbudzać, kształcić je i uzacniać — jest jednym z najwyższych zadań wychowania. Wiedzą też o tem pedagogowie i nie pedagogowie tylko. Szlachetny myśliciel włoski, Amicis, napisał na ten temat przepiękną książkę, która w każdym domu znajdować się powinna: *Il cuore (Serce)* noszącą w przekładzie naszym tytuł: *Pamiętniki chłopca*, gdzie matki, rodzice wogóle, znajdą najdoskonalszy wzór wychowania ze względu na rozwój uczuć szlachetnych w piersi młodej. Trzeba iskrę uczucia, złożoną tam przez Boga, rozdmuchać już w dziecku, aby serce to stało się ciepłem i do zapалу uczuć go- rących zdolnem, a pierwsza to i najważniejsza — najważniejsza lekcya. Nauka uczucia przychodzi dziecku przez miłość rodziców dla niego: przez oznaki przywiązania, widniejące w tklivych sta- raniach na korzyść jego łożonych. Nie zapomi- na nigdy syn, który już zupełnie zimnym głazem i nędznym egoizmem nie jest, jak matka czuwała nocami przy łóżeczku jego dziecinnem — jak każdy jego ból był jej boleścią, każda jego ra- dość jej radością, jego postępek w dobrem jej tryumfem i serce nie może pozostać obojętnem wobec tej czułości i ofiar — trudów wychowania tklivie, miłości, z rozkoszą spełnianych.

Znanem jest ogólnie zdanie, że każdy wielki człowiek miał dobrą matkę, co znaczy, że matka ta własnych przymiotów siłą oddziaływała na wytworzenie się w sercu dziecka uczuć, które rozszerzały pierś i przygotowywały do życia po- jętego szlachetnie — do ukochania ideałów gór- nych, piękna moralnego, cnoty. Przecież naj- ważniejszą tu rzeczą jest zdolność uczucia wyro- bić i byle tylko miłość macierzyńska nie była egoizmem we dwoje: pieszczotą psującą, która każe wszystkim i wszystkiemu stawać się pod- ścieliskiem dla wygod i używania jej ukochanego dziecięcia — byle jej własna istota mogła mu służyć za wzór życia nieprześniętego samo- lubstwem, dość już jest samej jej miłości, aby dziecko uczyło się kochać. Życie może potem zaprowadzić człowieka drogą inną zgola, niż szła ta matka — mogą wyostać mu się z ducha inne, niż jej, siły i przymioty: wyższe, doskonalsze; od niej on jednak nauczył się rzeczy najważniejszej, od niej przyszedł mu wielki przymiot i wielka si- ła — zdolność kochania: uczuciowość.

Praktyka uczucia czynna, w ofiarach, składa- nych na korzyść ukochań swoich, powinna też mieć miejsce już w latach młodych, najmłodszych. Niech to będzie w dzieciństwie pierwszy kar- melek na dwoje rozłamany, odstąpiona ko-

muś zabawka, wyręczenie kogoś zmęczonego w trudzie pracy męczącej — cokolwiek, byle tylko było zrzeczenie się jakiegoś własnego używania, własnej przyjemności na korzyść osoby drugiej, bo to da pierwsze dobre nagięcie, nie tylko sercu, lecz umysłowi, gdzie wprowadzi pewne pojęcie obowiązków między ludzkich: wzajemnej wymiany usług, miłosierdzia, dobroczynności. Dziecko uznaje się wtedy częścią wielkiej całości: wstępuje mu w pierś poczucie solidarności, która wiąże rodziny, narody, a niech matka nie lęka się dłoń, aby przez rozszerzony zakres uczuć i obowiązków człowiek stał się w przyszłości mniej szczęśliwym, bo na więcej ofiar i cierpień narażonym. Nie przez to, aby najmniejszą była ilość prac, trosk i doświadczeń serdecznych, ale przez największą sumę wrażeń i wzruszeń cieszących otrzymuje się szczęście życia. Jedno gorące, silne uderzenie serca więcej życiu temu przyniesie, niż lata całe obojętnego wegetowania wśród biernego spokoju, i o ludziach to, zasklepionych w takim zabezpieczeniu szczęśliwości swojej, woła poeta, że są jak „konchy, co się w bagnie tają”...

— Kochać, wierzyć, czuć bez miary... to jest szczęście na tym świecie... dodaje inny głos szlachetnie rozumny, Żmichowska, i tak jest niewątpliwie. Można więc śmiało twierdzić, że wychowanie, które uczuciowość w młodej istocie rozwija, usposabia ją najlepiej do używania szczęścia, bo stwarza w niej władzę, przez które używanie to dostaje się człowiekowi — kto wie czy nie wyłącznie?

Nie omyli się też ten, kto uczuciowość, skierowaną szlachetnie, uważać będzie za najpewniejszą podstawę dobra. Religia wielki swój nakaz stosunku człowieka do człowieka powierzyła uczuciu: — Będiesz miłował bliźniego twego, jak siebie samego... nakazuje Prawo Mojżeszowe, a Chrześcijaństwo, tego nakazu miłości nie odwołując, podnosi go jeszcze: kazać kochać więcej, mocniej — ponad siebie samego, aż do ofiary. Drogi ludzkości otrzymują szlak wytknięty w stronę ideału, skala cnoty podwyższa się i ma na szczycie swoim poświęcenie. Nierzadko wielka zdolność, wielki talent, genialność, obywa się bez uczucia, działa przez siłę umysłu, rozumu, uskrzydlenie biorąc od wyobraźni; ale cnota tylko na tym gruncie wyrasta i stary poeta ma słuszną, gdy mówiąc o wielkim, świętem uczuciu Ludzkości woła: — Znają cię tylko umysły pocziwe...

Dążenia wyniosłe, gdy nie opierają się na tej podstawie, którą daje człowiekowi serce, stają się często, często bardzo, raczej klęską, niż dobrem Ludzkości. Ambicja to jest — poryw pyszny, który dąży przedewszystkiem do wyniesienia się własnego, i trąci wszystko, co na drodze swojej spotyka — „kamień, czy serce bliźniego”, bo własna jego osobistość zasłania mu świat cały i matka, która pragnie przedewszystkiem dla dziecka swojego wartości moralnej, wyrobienia uczuć szlachetnych, powinna pilnie strzedz, aby młodość, szczególnie wyżej obdarowana, nie zatruliła sobie serca samolubstwem. Uczucie jest często wśród kłopotów życia tą liną ratunkową, którą się spuszcza człowiekowi, znajdującemu się w otchłani. Już nieraz na samem dnie wspaniałego rzutu jakiś wzruszonego serca — wspomnienie na młodych uczuć ideały — na młode miłości swoje, uratuje zstępującego w głąb.

Uczucie powstać przeciw może tylko przy pewnem już rozbudzeniu sympatii dla otoczenia naszego, a tu potrzebnym jest i współudział umysłu. Trzeba, aby umysł ten zwrócił uwagę naszą na otoczenie, wśród którego żyjemy — aby wykazał w śród ruchu życia te fenomena moralne, dla których człowiek nie powinien pozostać obojętnym: a wtedy dopiero serce jego digne rzeczywistym współczuciem dla bliźnich swoich, wtedy dopiero ta siła, zbliżająca do siebie ludzi, zadzierżgnie między niemi węzły przyjaźni, miłości, szacunku. Dla tego to wykształcenie humanitarne zawsze będzie rozwijało najlepiej te strony uczuć i jakkolwiek ma być kierunek zawodowej pracy człowieka, należy mu się ta wiedza, która daje znajomość rzeczy ludzkich — nauka, mająca charakter moralnie edukacyjny, przez to,

że stawia przed myślą młodości, biorącej pierwszy rozpęd do życia, obraz idealnych pragnień i dążeń, usiłowań człowieka. Celem nauki jest, obok udzielania wiedzy, rozwijanie zdolności, wywoływanie energii ducha i wydziedzicza się istotę młodą, gdy dokonywa się to jednostronnie — gdy kształci się ją tylko do osiągnięcia korzyści życia materialnych. Współczesny nasz pisarz pedagogiczny, Hiszpan Francisco Giner, wydał świeżo dzieło, przełożone już na język francuzki *Estudios sobre Educacion* (Studyum nad Edukacją) w którym wykazuje, że wzorem Greków, Platona, powinny narody dwie te rzeczy połączyć — nierozdzielnie uczynić pod groźbą zniesienia się moralnego poziomu ludzkości. Żadna władza, dana człowiekowi, nie jest dlań w życiu zbyteczną i wtedy tylko wykształcenie społeczeństwa jest dobre, wtedy do szczęścia i cnoty przygotowuje, gdy, nad jednostronność się podnosząc, rozwija równomiernie w uczącej się młodzieży wszystkie obdarowania człowieka, wszystkie jego zdolności myślenia i uczucia.

Tak też być powinno i tylko tak prowadzone wychowanie może przygotować dobrze do życia. Występuje tu wprawdzie mnóstwo względów rozmaitych, ale trzeba je wszystkie umieć pogodzić, nie na zatrącenie nie wydając, bo wszakże taką jest praca całego życia — godzenie rozlicznych obowiązków i wtedy tylko człowiek żył najpełniej najdoskonalej, gdy najlepiej tego dokonał: nie zaniedbał i wszystkich sił swoich szlachetnie użyć umiał. Chleb mieć trzeba, ale czemuż stają się ci, którzy są tylko jego zjadaczami? Wychowania to właśnie jest dziełem, aby rozwijało harmonijnie, budząc do życia, wszystkie dodatnie moce istoty ludzkiej, przeciwstawiając je popędowi złemu, i kto się dobrze nad dziełem kształcenia istoty ludzkiej zastanowił, kto się rozumnie w głąb człowieka wpatrzył, dojdzie do przekonania, że można wszystkie zło skłonności zwyciężyć przez rozwijanie odpowiednich cnot — przez rozumne skierowanie mocy w dziecku zamkniętych. Edukacja moralna a nauka moralności — to rzeczy zupełnie różne a przecież i często dla wychowców, dla matek jednoznaczne. Dobremi przykładami dziecko od małego otoczyć i wytworzyć mu nawyknięcia dobre — to podstawa najważniejsza; bo wtedy istota młoda tak się żyje z tem dobrem i z cnotą, że gdy wiek namiętności przyjdzie, gdy świat pokusami swemi w życie jej wkroczyć zapragnie, spotka się już z oporem niemal mimowolnym, który niezawodnie zwyciężym się okaże, jeżeli drugostronnie umiano w sercu młodem miłość dobrego rozbudzić, moralnego piękna uczucie dać. To, co by nazwać można estetyką moralną, dużo w życiu znaczy, bo jest pierwszym przeciwko złemu szansem.

M. I.

Z GŁĘBI OCEANU.

przez

Wilhelma Stossa.

Przekład z niemieckiego.

Od czasów zamierzchłej starożytności, aż po najnowsze wieki, tajemniczą głębię oceanów kryła mrokiem i cieniem niezbadana i niedostępna zasłona, którą w ostatniem dopiero stuleciu zuchwały umysł człowieka przeniknąć zamierzył. Przed śmiałym wzrokiem starożytnego żeglarza pierzchły niegdyś zastępy zwoźniczych bóstw morskich, złudne i groźne twory wyobraźni, — przed okiem surowego badacza nowożytnych czasów potężne morze pokornie otwiera swe łono, ukazując mu fantastyczne twory i zjawiska, bogactwem i różnorością przewyższające najśmielsze jego przypuszczenia. Porwany żądzą rozszerzenia granic swej wiedzy, człowiek jednocy

wszystkie znane mu gałęzie nauki i doświadczenia, by wyrzeć niezwalczoną dotąd potęgę jej tajemnice i prawa: i oto powstaje *Oceanografia*.

Młodziuchna to siostrzyca prastarych i doświadczonych przewodniczek ludzkiego umysłu, ale też wsparta ich dzielną pomocą i zdobyczami pokrewnych umiejętności, młoda nauka śmiało i szybko postępuje naprzód, dążąc do jasno wytkniętego celu. Dążenia jej dotąd, czysto-naukowe, niekępowane bynajmniej warunkiem natchnień korzystać z materii, niemniej przeto zasługują na głębszą uwagę. Pragnienie bogactw i złota było zawsze głównym motorem w historii wielkich odkryć i wynalazków, a niezliczone okręty i dzisiaj krzyżują się w przeróżnych kierunkach po chłodnych falach oceanu, nie pytając bynajmniej, co kryje jego ruchliwa i jednostajna powierzchnia, — ale też, gdyby nie bezinteresowna działalność tej nowej pionierki postępu i wiedzy, długo jeszcze zapewne nie przeczuwalibyśmy nawet całej pełni życia i zjawisk nieznanych, jakie w krótkim stosunkowo czasie, dzięki jej pośrednictwu, rozwinęły się przed zdumionym wzrokiem badaczy.

Założenie liny telegraficznej, łączącej Stary Ład z Ameryką było praktycznym powodem pierwszych naukowych badań nad głębokością mórz i oceanów. Otrzymane rezultaty zburzyły odrazu panujące dotąd przekonania o kształcie i ustroju dna morskiego i zachęciły do ściślejszych w tym kierunku poszukiwań i obserwacji. — Przedtem mniemano powszechnie, iż dno morza, zarówno jak powierzchnia lądów, okrywają liczne wzgórza i doliny, przewyższające rozmiarem i różnorością konturów wyniosłości ziemi, — tymczasem przekonano się zaraz na wstępie, iż olbrzymie łożyska oceanów zniżają się terrasami o stokach łagodnych, w miarę oddalania się od lądów, tak, iż gdyby ta wklęsłość nagle osuszona została, horyzont jej dla oka byłby zawsze tylko rozległą równiną, nie urozmaiconą nawet przez falistość gruntu. — W pobliżu jedynie skalistych wybrzeży wznoszą się niekiedy obzerne podwodne płaskowzgórza, prawdopodobnie oderwane części kontynentów, — ze względu jednak na swoją rozległość i jednostajność powierzchni te nawet wyniosłości nie mogą być porównane z górzystymi miejscowościami na lądzie. Pozostały obszar jest nieprzerwaną, łagodnie wklęsłą pośrodku równiną, gnieńdziej tylko urozmaiconą przez działaniem sił wulkanicznych wydzwignięte wzgórza, albo odłamy skał, przyniesione tutaj przez góry lodowe, stale kruszące wybrzeża podbiegunowych okolic.

Jakkolwiek na pierwszy rzut oka zadziwiająco wydaje się ta różnica w ukształtowaniu powierzchni lądów i dna morskiego, rozważywszy jednak warunki towarzyszące tworzeniu się jednej i drugiej, uznać będziemy musieli, iż jest ona zupełnie naturalną, i z tychże samych wypływającą warunków. Cóż bowiem stanowi właściwą powierzchnię podwodnych tych obszarów? — Dziś, kiedy z pomocą odpowiednio udoskonalonych przyrządów z największych głębi łatwo otrzymać możemy próby pokładów gruntu, nie trudno odpowiedzieć na to pytanie. Na całej powierzchni ziemi działają bezustannie żywioły, dążące do zniwelowania jej wyniosłości i wypełnienia niezmiernych głębin oceanu. Powietrze i woda pracują nad tem od wieków z niezmordowaną, niewyczerpaną nigdy wytrwałością. — Rzeki rokrocznie niosą do morza olbrzymią daninę gruzu i ziemi, wiatr zasypuje fale piaskiem i wulkanicznym popiołem, morze samo nakoniec działaniem swych fal rozkrusza skały nadbrzeżne, pochłaniając jedną po drugiej z cheiwością nienasyconego potworu. Potężne pasaty piasek Sahary przenoszą aż na środek Atlantyku, musony pokrywają nim Ocean Indyjski, olbrzymie lodowce u szczytów gór od wieków strącają w doliny i morza niezmierną ilość głazów i kamieni.

Massy te, rozkruszane w ciągu niezliczonych wieków, w porównaniu, z którymi dzieje Ludzkości krótką wydają się chwila, wypełniły żłyzsk na wszystkie nierówności oceanowych łożysk i dna morskie wysłały grubą, jednostajną warstwą skalistego pyłu.

Tę pracę powietrza i wody, t. j. nieorganicznych żywiołów, wspiera stale działalność organicznego świata. Natura powierzyła ją wprawdzie najdrobniejszemu, najniższemu niemal swym twórcom, lecz zjednoczona praca miliardów tych istot zdumiewająco wytwarza rezultaty. W pobliżu brzegów albo na wulkanicznych podwodnych wyniosłościach budują liczne odmiany koralowca kamienne swoje siedziby, w postaci skał i wysp, wznoszących się czasami po nad powierzchnią morza. Burzliwe fale, łamiąc się bezustannie o tę organiczną zaporę, niszczą ją wzajem i oderwane szczątki kruszą na pył wapienny, który prąd wody unosi daleko, wyścielając nim morskie głębiny.—Ten grunt wapienny, szaro-białego koloru, znajdujemy w największych głębiach Atlantyku, głównie zaś na Oceanie Spokojnym, będącym właściwą ojczyzną wszystkich gatunków i odmian koralowca.

Działalność jednak koralu ograniczona jest co do przestrzeni, żyjątko to bowiem nie znosząc wcale wielkiego ciśnienia, nie może osiedlić się głębiej, niż 54 metry pod wodą, zaludnia więc tym sposobem zwierchnie jedynie warstwy oceanu. Na wielkich głębiach, zdala od wybrzeży, inny rodzaj żyjątek, roślin i zwierzokrzewów pracuje nad podniesieniem poziomu i zamianą krzemionkowego i wapiennego pyłu w twarde pokłady i skały. Życie roślinne przeważa tu nad zwierzęcem, morzorsty, okrzemki i promieniaki w niedostępnej do objęcia rachunkiem ilości przepelniają tu ciemne nieruchome wody, tworząc ze swych kamiennych pancerzy osady grube na kilkadziesiąt metrów.— Obecność krzemionki w tych pokładach znamionuje się barwą ich zieloną lub bladoczerwoną. Okrywają one powierzchnię dna morskiego do granicy 3,000 metrów głębokości.—Poniżej jeszcze dno morskie zaściela osad ciemno-czerwonego koloru, składem chemicznym różniący się od poprzednich, prawdopodobnie dlatego, że wielka ilość kwasu węglowego, w jaki obfitują te głębie, uwalnia wapno z opadających tu związków chemicznych, pozostawiając w nich czystą prawie krzemionkę.

Obok wymienionych przedstawicieli zwierzęcego i roślinnego świata ocean zawiera w swym łonie niewyczerpane bogactwo gatunków i form organicznych, nieznanych na kontynentach. Tu, na powierzchni, nieodzownym warunkiem bytu życia organicznego jest światło i ciepło, — tam, w głębi wodnych przepaści, warunki te istnieć nie mogą. Promienie słonecznego światła, przenikając powierzchnię wody, sięgają zaledwie do głębokości 100 metrów; najnowsze zaś badania, stwierdziły, iż 4.000 metrów zaledwie przyjętem być może na oznaczenie przeciętnej głębi oceanu, którego dno niekiedy znajduje się przecież o 8.000 metrów niżej od poziomu. To też panowałyby tutaj wieczne, nieprzeniknione ciemności, gdyby morze nie zawierało w sobie nowych, niezbadanych jeszcze źródeł światła. Fosforescencja morza objawia się niekiedy nawet na jego powierzchni; w głębi zjawisko to stale rozprasza ciemności wodnego żywiołu, przenikając go bezustannie bladem i łagodnym światłem. Tym sposobem panuje tutaj zmrok jednostajny, daleki od czarnej absolutnej nocy, i niepodobny bynajmniej do dziennego, słonecznego światła. Blask fosforyczny, rozpraszający te cienie, wydzielają zarówno żyjące organiczne istoty, jak szczątki tychże, okrywające dno morza. Dotychczas zbadano naukowo około stu gatunków żyjątek morskich, wydzielających światło, już-to za pośrednictwem stałego organu, już całą powierzchnią swego ciała. Do nich zaliczamy liczne odmiany wycieczek, wspaniałe ognice czyli salpy, anemony morskie, rozgwiazdy, polipy, skorupiaki i t. p.

Temperatura morza różni się także niezmiernie od temperatury dolnych warstw powietrza, otaczających ziemię. Potężne zimne i gorące prądy, niby olbrzymie rzeki, krzyżujące się bezustannie we wszystkich kierunkach, sprawiają, iż temperatura wód morskich w znacznej głębokości pozostaje stałą i niezmienną bez względu na to, czy ich powierzchnię okrywa lodowa skorupa, czy palą prostopadłe promienie słońca stref podzwrotnikowych. Już na 1.000 metrów pod poziomem panuje stała prawie temperatura, wa-

hająca się zaledwie pomiędzy 4° i 5° C. Zaczynając zaś od 4.000 metrów i niżej, termometr wskazuje stale 1° C., 0° C. a nawet spotykamy od czasu do czasu wieczne podwodne lodowce.

Jednostajności ustroju dna morskiego odpowiada zatem dokładnie jednostajność warunków światła i ciepła. Wszystko tu zdaje się nieruchomem, martwem, zastygłym. A jednak jaką nieskończoną ilość żyjących tworów znajdujemy w tych chłodnych i mrocznych przestworach, gdzie napozór istnienie istot organicznych wydawać-by się mogło niemożliwem! Aby zrozumieć to jednak, dość jest pamiętać, iż nie morze dla nich stworzonym zostało, lecz organizmy te z wolna powstawały, stosując się do istniejących już przedtem warunków i nawiązując do nich coraz ściślej, w miarę ginących i powstających pokoleń. Morze istniało od lat tysięcy, niezaludnione, ponure, ciemne i milczące; powstać w niem mogły jedynie istoty, do życia i bytu których wystarczały dane warunki. Nie należy także zapominać, iż warunki te polegają, nietylko na braku słonecznego światła i ciepła: zaliczyć do nich musimy chemiczny skład wody morskiej i wielkie jej ciśnienie. W głębokości 8.000 metrów ciśnienie wody morskiej 700 razy przewyższa ciśnienie atmosfery na powierzchni ziemi, t. j., iż na jeden metr kwadratowy wynosi ono 7.000.000 kilogramów.

Rzecz naturalna, iż do warunków danej miejscowości stosuje się organiczny ustrój zamieszkujących je istot. Jedne z nich posiadają słabo rozwinięte organa wzroku, inne pozbawione są go zupełnie. Niektóre odznaczają się wydoskonaleniami narzędziami ruchu, służącymi im do niezmiernie szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce, wiele bardzo nie posiada ich wcale lub bardzo niedostateczne. W miarę zwiększającej się głębokości zaciera się także różnica ubarwienia i kształtów, a nawet ilość gatunków i osobników. W zwierznych warstwach wód morskich widzimy liczne gatunki ślimaków, małży, raków i krabów, koników, jeżowców, gwiazd morskich, polipów, anemonów i całe lasy różnogatunkowych barwnych morzorstów. Głębiej spotykamy niezwykle gatunki ryb, gąbek, raków i żyjątek, a jeszcze niżej miliardy świecących wycieczek, gromady polipów, jeżowców, odmienne gatunki gwiazd, gąbek i anemonów, które na 5.000 metrów pod poziomem pokrywają jeszcze dno morskie.

W miarę oddalania się od powierzchni ubarwienie istot organicznych przybiera coraz ciemniejszy, bardziej jednostajny odcień.—Z wyższych organizmów raki jedynie spotykamy wszędzie, żyją one bowiem w tysiącznych odmianach we wszystkich strefach i głębokościach, z zadziwiającą łatwością przystosowując się do odmiennych warunków.

W niektórych okolicach miriady drobnych skorupiaków wypełniają wody morskie, nadając im niekiedy stałe zabarwienie, jak np.: Morze Czerwone i „purpurowe“ (Zatoka kalifornijska), które im zawdzięczają swą nazwę.—Wstrętne krocionogi i czerwie, małe ślimaki i głowonogi należą także do licznych mieszkańców głębin.—Ryby, tysiącznych kształtów, odcieni i odmian, żyją zarówno w głębiach, jak na powierzchni mórz i oceanów. Ich mieniące się srebrem w górnych warstwach laski przybierają w miarę zniżania się ich siedliska ciemniejsze i bardziej jednostajne tony. Niektóre z nich posiadają organa świecące, które im służą zarazem do przynęcania zdobyczy. W tym samym celu inne zaopatrzone są w długie ruchliwe wąsy. Ich postać przybiera także najrozmaitsze kształty.—Widzimy tutaj olbrzymie potwory o paszczy szerokiej, uzbrojonej ostrymi zębami, to znów bezzębne i wątłe napozór istoty, posiadające często groźną broń ukrytą. Walka o byt wytworzyła je wszystkie—walka zacięta, rozpaczliwsza i bardziej nieniągana, niż na powierzchni ziemi, gdzie bogata roślinność tysiącom istot dostarcza pokarmu bez troski. Tutaj silniejszy pożera słabszego i to jest jedyna odpowiedź na odwieczne zagadnienie socjalne w tych niedostępnych głębiach oceanu.

Przecież i tutaj znajdujemy jeszcze przykłady

wzajemnej pomocy i przywiązania, tak często powtarzające się w państwie zwierzęcem.

Znanym jest faktem, iż Biernatek (Pagurus Beruhardus), gatunek raka, posiadający długi i miękki ogon, umieszcza go w próżnej skorupie ślimaka, która zabezpiecza wybornie od uszkodzenia tę słabą i potrzebującą zewnętrznej ochrony część raczego tułowia. Pewien gatunek „kwiatczkowatego“ polipa żyje w ściślej z biernatkiem przyjaźni.—Zwierzokrzew taki przytwierdza się silnie do muszli zajętej przez biernatkę i tym sposobem odbywa korzystne dla siebie wędrówki, pozwalające mu szukać żywności, z którą sam dla braku organów ruchu uganiaćby się nie mógł. Za tę przecież usługę żyjątko wywdzięcza się wzajem swemu dobroczyńcy, zabezpieczając go paląciami swymi żegawkami od chciwości drapieżnych ryb i potworów.

W Neapolu, gdzie istnieje obecnie zoologiczna stacya obserwacyjna, skonstatowano niedawno fakt nader ciekawy: Schwytanego biernatka wyjęto ze skorupy, do której przyczepiony był polip i tę ostatnią zepsuto — Wywłaszczony przemocą rak znalazł wkrótce nowe dla siebie mieszkanie, pamiętny jednak na odebrane od towarzysza usługi, dopełnił z nowym swym domkiem do dawnej skorupy, odczepił od niej zwierzokrzew przy pomocy ostrych swych nożyc i sam go umieścił na nowej swojej siedzibie.

Wnioskować-by ztąd można, iż te nawet pierwotne istoty oceniają wartość wzajemnej pomocy.

S N Y.

Skończyłam rok pięćdziesiąty ósmy. Bóg mi dopomógł w wypełnieniu obowiązków moich. Przed dwoma miesiącami wnuczka moja jedyna, ostatnie moje dziecię, wyszła za mąż.

Zesłałam już na drugi plan w jej życiu... Dzięki Ci, Boże! Człowiek przez nią wybrany był także wybranym dla niej w moim sercu...

On dokończy jej moralnego i umysłowego rozwoju, poprowadzi ją coraz wyżej; ona oprze się na nim, jak powój wkoło dębu obwity, i kwiatem uwieńczy mu czoło.

Wkrótce może będę prababką. Żartują ze mnie znajomi, że tak wcześnie... Ależ miałam lat dwadzieścia, idąc za mąż!

Dziewiętnaście lat temu taksamo oddawałam z rąk swoich córce.

Czy to był sen tylko, to dziecię moje ukochane, ta główka złota do serca mego przytulona, te rączki wkoło szyi mojej splecione? I to życie jej całe młode, kwiatek mój zerwany przedwcześnie! To był sen?

To sen był tylko, to dziecię przez nią mnie pozostawione, dziecię mojej Amelii, dziecię nasze? Ostatni promień mojego życia?.. Och! te wieczory nasze letnie! Te pytające oczy ku moim oczom zwrócone, jakby w nich szukały tajemnic życia, co przed niemi dopiero rozsuwać zaczynało czarowne swoje zasłony!...

W początkach tego miesiąca musiałam być w Warszawie na wieczorze u jednej z kuzynek męża mojej wnuczki. — Jakże obcą czułam się w tem towarzystwie! Oprócz uprzejmej gospodyni domu, bawiącej po kolei wszystkich swych gości, nikt prawie nie zbliżył się do mnie. Prawda, że wybrałam sobie towarzystwo odstraszające te młode panie i panów — siadłam koło starej szambelanowej, która poraz dziesiąty opowiedziała mi bał jakiś na dworze Karola X-go, aż zasnęła w końcu podczas, gdy jej wnuczka w drugim salonie ani wiedziała co się dzieje z jej babką. Już-to dzisiejsze panny na zebraniach mało zwracają uwagi na swoje matki i wogóle na osoby dla nich przecież tylko biorące udział w wieczorach, w których zapewne więcej znajdują znużenia, niż przyjemności. Jakżeż więc żądać, żeby

obcy a młodzi o tych stojących już poza obrębem ruchu i życia cokolwiek dbali?

A jednak starość sama w sobie jest rzeczą dość smutną, by do niej nie było potrzeba jeszcze dawać osamotnienia.

Moja Ewusia stanowiła wyjątek w tym względzie. Dla kogóżby ona dobrą i uprzejmą nie była!... A ja póki ją miałam przy sobie, czułam się młodą jeszcze... To moje dziecię ostatnie, ta córka mojej córki — czyż dla mnie to był sen?...

Uśmiechnąłby się niejeden, gdyby był mógł odgadnąć, że w czasie tego wieczoru robiłam rachunek sumienia. Bo i ja kiedyś żywą byłam, a teraz opuszczona, sama zapytywałam siebie czy niegdyś nie czyniłam tego, co dziś zarzucam młodszemu od siebie? Mniej może, niż pokolenie dzisiejsze. Za moich czasów w istoty wychowywane wpajano zasadę, że zebrania towarzyskie są nietylko zabawą, ale i łącznikiem ludzi między sobą, i że starości od młodych attentiony się należy.

Za moich czasów... Więc już tak starą jestem, że już używam tego wyrażenia? Więc już dni moje minęły bezpowrotnie? Niedługo mogę być prababką — cóż za śmieszne zadziwienie — ale młodość dla mnie minęła tak niepostrzeżenie, — trwała tak krótko. Mój złoty letni sen!...

Kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką, czytałam raz, że w Dale wydobyto z kopalni ciała młodego górnik. Widać śmierć go zaskoczyła nagle i niespodzianie, kiedy nie zdążyła zgasić krasy jego, ani nawet zmącić pogody pięknego oblicza — powietrze widać nie dochodziło do miejsca, w którym spoczywał. Nikt go nie znał; zbiegli się górnicy i wioska cała; nikt z otaczających nie mógł odpowiedzieć na rzucane zewsząd pytania: kimby był ten zakłęty, ten odnaleziony?

Dopiero ośmdziesięcioletnia staruszka przywlokła się o kiju — spojrzała — padła na kolana: to był jej narzeczony, przed sześćdziesięcią laty zaginiony!

Tosamo stało się i ze mną. Mój sen pograżył się w głąb serca mego. Obowiązki obywatelki, żony i matki niewiele zostawiają czasu na marzenia. Dziś on wstaje przed oczyma memi, przed moim wzrokiem sześćdziesięcioletnim. To był sen także, mój syn, mój Franek ukochany, nadzieja moja, duma, szczęście moje!... On w sercu mojem na wielkie czyny poświęcony na bojownika prawdy i sprawiedliwości.

Życie moje dobiega do kresu swego. — Czy tam połączę się z ukochanymi? Czy może Stwórca nas wysyła na nowe próby i prace aż do ostatecznego udoskonalenia się duchów naszych? To także sny tylko. On sam Światło jedyne, Prawda przedwieczna, objawi to człowiekowi, gdy zechce.

Człowiek powinien spełniać wolę jego, i czekać.

Jutro pojedę do swojej kuzynki, jest samotna i niespokojna o syna.

A teraz przejdę się po wsi zapytać o moich chorych. To nie sny.

C.

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Fata morgana w Ohio. — Fonograf w zastosowaniu do badania zwierząt. — Most na rzece Forth. — Dyamenty w meteorach. — Kola. — Wzrost przeciętny ludzi.

Zajmujące zjawisko natury mieli sposobność obserwować mieszkańcy miasta Ashland w Ohio, dnia 22 Marca r. b. O godzinie czwartej po południu ukazało się na bezchmurnym niebie zupeł-

ne odbicie miasta z gmachami, wieżami kościelnymi i licznymi kominami fabrycznymi, z których unosiły się słupy dymu. Obraz całkowity przedstawiał się skośnie, gdyby więc odbicie nie było w zbyt wielkiej odległości, można-by było widzieć place i ulice między zabudowaniami. Wszystkie budowle ukazały się prawie w naturalnej wielkości w nader jaskrawym oświetleniu, a cały miraż przedstawiał się jako uniesione w powietrze miasto, spadające powoli na ziemię. Dolne części gmachów i grunt były niewidocznymi z powodu znacznego pochylecia. Widok tego zjawiska na niebie spowodował między ludnością nieopisany popłoch. W przeciągu kilkunastu minut Ashland zostało opuszczone przez wszystkich mieszkańców. Niższe warstwy społeczeństwa z czarną ludnością i Chińczykami na czele uciekały do lasu, modląc się i zawodząc głośnie żale; jedynie ludzie wykształceni i mniej bojaźliwi podążali na wyniosłe place, aby podziwiać to rzadkie i wspaniałe zjawisko, które trwało około trzech kwadransy, przedstawiając się jako olbrzymia akwarella, zawieszona w przestworach niebieskich. Później *fata morgana* to zaczęło blednąć i rozplynęło się jak tęcza.

Niektóre osoby zapewniały, iż poznają w powietrznym tym obrazie miasto Mansfield, oddalone o 30 mil, inne utrzymywały, że to odbicie miasta Sandusky o 65 mil oddalonego, że widzą dokładnie jego kościoły i gmachy. Murzyni tego samego dnia jeszcze odprawiali nabożeństwa, sądząc, że nadchodzi koniec świata.

Fonograf, ów prawdziwy cud XIX wieku, znalazł nowe zastosowanie, a mianowicie: do badania mowy (?) zwierząt. Istnieją przypuszczenia, że zwierzęta porozumiewają się między sobą przy pomocy wydawanych dźwięków głosowych. Człowiekowi jednakże dotychczas nie udało się pochwycić owych dźwięków głosowych, ani za pośrednictwem alfabetu, ani przy pomocy nut muzycznych, skutkiem tego nie podobna nabrać ściślejszego pojęcia o sposobie porozumiewania się zwierząt między sobą. Nietylko bowiem każda narodowość oddaje inaczej owe dźwięki, ale niemal każdy człowiek inaczej naśladuje je i odtwarza.

Fonograf przeto, zapisujący i oddający najdokładniej owe dźwięki, zmniejszy w wysokim stopniu istniejące dotąd trudności w badaniu mowy (?) zwierząt.

Proponowano wielką ilość środków przeciwko chorobie morskiej. Najlepsze skutki, jak dotąd, oddawał wodan chloralu, lecz w zupełności chorobie nie zapobiegał. W jednym z ostatnich numerów „Journal de la Marine“ zapewnia D-r Hacks, że objawy morskiej choroby napadają jedynie osoby próżnujące, a ustają natychmiast, gdy się zająć jaką cięższą fizyczną. Z własnych obserwacji twierdzi wspomniany lekarz, iż majtkowie, odbywający podróż po raz pierwszy, gdy są zajęci odrazu obsługą okrętu, nie zapadają nigdy na chorobę morską. Fakt ten sprawdził także i na sobie samym. Gdy po raz pierwszy odbywał morską podróż, leżał trzy dni chory; naraz wezwano go do passażera, który się zranił w podróży. Z wielkim wysiłkiem zdołał zwlec się z łóżka i udać do ranionego, aby mu opatrzyć ranę. Przemógłszy chorobę i zajmąwszy się pacjentem, wyzdrowiał wkrótce sam najzupełniej.

Przed niedawnym czasem ukończony i oddany do użytku publicznego most na rzece Forth jest bezwątpienia jednym z najkolosalniejszych dzieł technicznych tegoczesnych, przewyższającym o wiele wszystko, co dotychczas w tym kierunku geniusz człowieka zrobił, nawet sławną wieżę Eiffel z wystawy paryskiej. Do wybudowania tego

mostu zużyto co najmniej sześć razy więcej materiału, niż do wieży Eiffla; pracowało nad nim przez siedm lat przeszło 3.000 robotników, a koszt wyniósł około 60 milionów marek. Most ten posiada 2.484 metrów długości. Wytrzymał próby, jakie na nim wykonano, puszczając o znacznych obciążeniach pociągi, a dziś odbywa się już regularna komunikacja ku powszechnej wygodzie.

W kwestyi pochodzenia dyamentów dyskutowano przed niedawnym czasem w Akademii Umiejętności w Paryżu. W ostatnich czasach donoszono o znajdowaniu tego szlachetnego minerału w meteorach. I tak w spadłym w Nowo-Urei wykryto znaczną ilość, stanowiącą około jednego procentu całkowitej wagi, proszku dyamentowego. Żelazo meteoryczne z Mongura na Węgrzech zawiera w sobie grafit w formie krystalicznej, podobnie jak holosyderyt z Youndegin w Australii zachodniej i z Cosby's Creek w Stanach Zjednoczonych, w którym znaleziono około stu kryształów grafitu w postaci pięknych sześciątów. Spostrzeżenia te zebrane zostały w przeciągu krótkiego czasu: ztąd też wyprowadza wniosek p. Daubrée, że obecność proszku dyamentowego, lub też dyamentów przeobrażonych w grafit, w meteorach jest objawem stałym, chociaż wykrycie ich wymaga poszukiwań bardzo starannych, gdyż, znajdujący się proszek jest nadzwyczaj subtelnym a kryształy małe. Spostrzeżenia te zestawia badacz francuzki z warunkami tworzenia się dyamentów na ziemi, a mianowicie, opierając się na naturze pokładów, w jakich najczęściej spotykamy dyament w Afryce Południowej, przypuszcza, że massy, zawierające dyamenty wydobyły się bliżej powierzchni ziemi skutkiem wybuchów przez kanały, czyli, że przypuszczać można, iż głębsze warstwy ziemi, położone poniżej pokładów granitu zawierają dyament w znacznych ilościach. Przeciwno poglądom tym występuje p. Bertholet utrzymując, że niektóre kryształy grafitu mogą powstać skutkiem przeobrażenia dyamentów, nadmieniam zaraz jednakże, że przeobrażenie dyamentu w węgiel czarny wydaje zawsze produkt bezkształtny. Prócz tego, powiada, że znalezienie kryształków w meteorach z Nowo-Urei, rysujących rubin i wydających po spalaniu w przystępie tlenu, dwutlenek węgla, nie jest jeszcze bezwarunkową wskazówką, iż kryształy te są w samej rzeczy dyamentami, mogą być poprostu mieszaniną węgla z twardymi bardzo krzemianami, lub glinianami, jak to wydarzyło się temu uczonemu, który sądził, że otrzymał sztuczne dyamenty z węgla za pośrednictwem działania elektryczności.

Widzimy przeto, że kwestya formowania się tej drogocennej ozdoby jest zawsze jeszcze niewyjaśnioną; że prawdopodobnie długo przyjdzie płacić za nią wielkie summy, zanim uczeni zdołają wyrabiać sztuczne dyamenty. Tymczasem, kto nie może nabywać prawdziwych, musi kontentować się tą fabrykacją, jaką przemysł dzisiejszy produkuje.

Na jednym z ostatnich posiedzeń Akademii Medycznej w Paryżu p. Heckel z Marsylii zakomunikował zebranym rzecz o działaniu na organizm człowieka orzecha afrykańskiego „kola“, który działa daleko bardziej podniecająco niż kawa i herbata, a dzięki czemu ludzie mogą wykonywać uciążliwe prace, odbywać przemarsze, bez zmęczenia. Murzyni afrykańscy po spożyciu takiego świeżego orzecha są w stanie podczas największego skwaru słonecznego przejść 80 kilometrów dziennie. Pewien pułkownik i porucznik weszli w roku 1888 na Carrigan, górę wysoką na 2.300 metrów, a odpocząwszy tylko 25 minut szli przez 12 godzin bez zmęczenia, zażywając przedtem nieznaczną ilość proszku *kola* mianowicie odpowiadającą 15 centigramom kofeiny. Grono oficerów przebyło w przeciągu 15 godzin drogę między Laval i Rennes, wynoszącą 72 kilometrów długości, nie czując zmęczenia, a to dzięki

temu, że zażyli przedtem ilość proszku kofeiny. Heckel zaleca skutkiem tego zażywanie tego proszku francuzkiemu klubowi alpejskiemu, w celu zabezpieczenia się od zmęczenia i tracenia oddechu w czasie wycieczek górskich; proponuje także, aby wprowadzono go do armii w czasie większych przemarszów wojsk i w razie wojny.

Czyżby głodomór Succhi, który właśnie odbywa obecnie w Londynie post dobrowolny, posiłkował się kolą?

* * *

Specjalnie wyznaczony komitet z łona towarzystwa antropologicznego „British Association” zajął się badaniem wzrostu ludzi różnych narodowości, a po przeprowadzeniu dokładnych studyów ogłosił sprawozdanie, z którego okazuje się, że najwyższymi ludźmi są Anglicy, wzrost ich bowiem wynosi przeciętnie 1,74 metra, ponieważ jednakże klasy robotnicze nie wchodzi w rachubę, przeto przeciętnie wypada 1,70 metr. Podobnego wzrostu są także Norwegczycy, Duńczycy, Węgrzy, Holendrzy dosięgają 1,67 metr. Szwajcarowie, Belgijczycy i Rosyjanie posiadają wzrost o pięć milimetrów mniejszy. Wzrost Francuza przeciętnie wynosi 1,66 metr. Niemiec nie jest wyższym od Francuza co do wzrostu. Najmniejszymi z Europejczyków są Hiszpanie i Włosi, średnia wysokość ich wynosi tylko 1,65 metr. We Francji klasy robotnicze przedstawiają się wprost przeciwnie, niż angielskie. We Francji bowiem członkowie klas zamożniejszych są 2 centymetry wyżsi, niż robotnicy, w Anglii zaś wzrost robotnika jest przeciętnie wyższy.

Dr. J. S.

Z bieżącej chwili.

— **W Petersburgu** organizuje się towarzystwo akcyjne tanich mieszkań. Ma się tam odbyć wkrótce kongres międzynarodowy w sprawie wykształcenia technicznego, przemysłowego i handlowego. Rząd zajął się sprawą zgromadzenia na ten cel odpowiednich funduszy. Dzienniki petersburskie donoszą, że w banku państwa znajduje się w gotówce 350 milionów rs. a w tej summie jest: 91.733.217 rs. na rachunku bieżącym u bankierów zagranicznych.

— **Dzienniki Petersburskie** donoszą, że w sferach rządowych powstał projekt uwolnienia drobnego przemysłu wiejskiego od opłaty patentów.

— **Wystawa prób i wzorów dla handlu wywozowego** zapelnia się okazami nowymi niemal codziennie nadsyłanymi. Obecnie przedstawione są wyroby 15 fabryk wyrobów metalowych, 6 drewnianych, 8 skórzanych, 16 włóknistych, 1 tłuszczów, 2 przetworów chemicznych, 1 kosmetyków, 5 produktów spożywczych, 3 higienicznych, 5 ceramicznych i asfaltowych, 17 rozmaitych. Razem jest wystawców 79.

— **Kilku przemysłowców warszawskich** otrzymało imienne zaproszenia do wzięcia udziału w międzynarodowej wystawie artykułów przemysłu górniczego i metalowego w stanie surowym

i przerobionym, mającej się odbyć w Londynie w Pałacu Kryształowym. Otwarcie wystawy nastąpi 2-go Lipca i trwać będzie do dnia 30 Września.

— **Opera londyńska** zaangażowała do orkiestry swojej p. Emila Młynarskiego, znanego w mieście naszym z występów koncertowych.

— **Lutnia warszawska** otrzymała zaproszenie do wzięcia udziału w międzynarodowym konkursie śpiewackim w Kolonii. Ma on się odbyć w Sierpniu 1891 r. Nagroda konkursowa jest 1.000 marek. *Lutnia* występowała z koncertami w Kielcach i w Radomiu. Przyjęcie było bardzo serdeczne.

— **Na Wystawę Tow. Sztuk Pięknych** nadesłany został zajmujący obraz Rozena: „Dumanie na błoniach”

— **Stypendyum dla studenta wydziału lekarskiego** na uniwersytecie warszawskim wakować, będzie z początkiem przyszłego roku akademickiego. Powstałe z zapisu ś. p. dr. Ignacego Gołębiowskiego, wynosi 250 rs. Prawo wyboru kandydata posiada Warszawskie Towarzystwo Lekarskie.

— **Prośba do osób dobrej woli o nakarmienie głodnego ducha**, wniesiona została za pośrednictwem „Gazety Kieleckiej” w imię jednego z najstarszych chłopczyka syn gospodarza wiejskiego ze wsi Chlevice w Kieleckiem, powiat włoszczowski. Chłopczyk ten nauczył się prawie sam czytać i następnie zdobył sobie tyle nauki, że jest najzupełniej przygotowanym do pierwszej klasy gimnazjalnej. Umie on wiele, jak na swój wiek, z historii, w arytmetyce (ułamki dziesiętne i zwykłe) okazuje wielką zdolność. Ojciec, właściciel małej osady, zdobyć się może ofiarować na 70 rs. rocznie, to przecież starczy mu nie może. Chłopiec nazywa się Mikołaj Szerszeń; ktoby wziął interes dziecka tego do serca, może zasięgnąć bliższych wiadomości od proboszcza parafii Chlevice, stacya pocztowa Jaronowice.

— **Doroczne posiedzenie członków akademii umiejętności w Krakowie**, odbyło się d. 31 maja. Generalny sekretarz akademii hr. Stanisław Tarnowski, odczytał sprawozdanie z czynności naukowych akademii. Następnie prof. Wład. Łuszczkiewicz wygłosił odczyt: „Architekci zakonni w XIII wieku”. Poszczególne wydziały przedstawiły następnie kandydatów na członków akademii. Wydział filologiczny na członka czynnego, przedstawił dr. Wład. Łozińskiego, konserwatora zabytków sztuki we Lwowie, na członka czynnego zagranicznego Wład. Spasowicza, na członka korespondenta dr. Maksymiliana Kawczyńskiego, prof. we Lwowie. Wydział matematyczno-przyrodniczy przedstawił dr. Wład. Zajackowskiego, prof. politechniki we Lwowie, na członka czynnego krajowego. Na członków zagranicznych L. Pasteur'a z Paryża, Schiaparelli'ego dyrektora obserwatorium w Mediolanie, W. Thomsona, prof. uniwersytetu w Glasgowie, Virchowa, prof. uniwersytetu w Berlinie. Przyznano następnie nagrody. Z fundacyi Barszczewskiego nagrodę za najlepsze dzieło sztuki przyznano Siemiradzkemu za „Fryne w Eleusis”. Krakowska rada miejska uchwaliła na przyjęcie włościan, przybywających z Górnego Szlązka, dla zwiedzenia kopalni soli w Wieliczce, w dniu Zielonych Świątek, 300 zł. reń. Drugi z rzędu zjazd chirurgów polskich — jak donosi „Słowo” — odbędzie się w Krakowie, w d. 15, 16 i 17 lipca.

— **W Pradze czeskiej** umieszczono na murze ratusza pamiątkową tablicę Husa, przy czem nie

było przecież żadnych uroczystości, żadnego zgromadzenia. Komitet zajmujący się sprawą wzniesienia pomnika Husowi zebrał drogą nadsyłanych składek 50.000 zł. reń.

— **Ojciec zadżumionych** Słowackiego, został przełożony na język nowogrecki. Dokonał tego zamieszkały w Grecji od lat dawnych ks. Baka i zamieścił w miesięczniku „Zwierciadło”. Wkrótce ma się ukazać w tymże miesięczniku inny poemat Słowackiego w „W Szwajcaryi”. Nie zbyt dawno w czasopiśmie, wychodzącym w Palestynie, drukował się przekład hebrajski „Ojca zadżumionych” przez Piotra Smoleńskiego. Przełożył on wiele dzieł klasycznych, autorów na język hebrajski. Umarł w młodym wieku w Meranie, zostawiając po sobie wiele prac literackich w rękopismach i wiele pięknych przekładów.

— **W Ameryce** wyszło kilka interesujących nas wydawnictw, między niemi wydana została w Chicago broszura: „The day 12 of September, ist the 200 anniversary of one of the grandest events in history. John Sobieski, King of Poland, conquers the Turks under Walls of Vienna 12 September 1683”. Jeden z historyków amerykańskich, obznajomiony z historią Europy i Słowian, nie ujmując Sobieskiemu wielkiego męstwa i przymiotów rycerskich — wielkiej dla cywilizacji zasługi przez ukorzenie potęgi Otomanów, wykazuje jednak z dużą znajomością rzeczy jego błędy i winy przeciwko nam, popełnione przez słabość woli w stosunkach domowych i w kraju, nieukrócenie pychy możnowładców w Pacach i Sapiebach. W Stanie Illinois w Chicago wyszedł świeżo słownik polsko-angielski i angielsko-polski Alexandra Chodźki.

— **Irlandczyków** urodzonych w Wielkiej Brytanii jest obecnie 1.500.000. Rodzin irlandzkich znajduje się tam 756.000.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 1-szy Tom II powieści pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. Przekład L. M.

TREŚĆ: Nadzieja postępu. — Drugie pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — Marya Galeron de Calonne przez M. Ilnicką. — Notatki pedagogiczne, przez M. Ilnicką. — Z głębi oceanu, przez Wilhelma Stossa, przekład z niemieckiego. — Sny, przez C. — Z działu przyrody. Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych, przez Dr. J. S. — Z bieżącej chwili. Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy powieści, pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. — Przegląd mód. — 29 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 23 Мая 1890 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

PRZEGLĄD MÓD.

Co modne. — Jak to modne nosić — Suknie w magazynie „au printemps“ Erywańska 9 — Jak odnowić zeszłoroczną suknię. — Różne nowości w toalecie. — Dzieci.

Suknie obcisłe gładkie, okalające całą postać, z pół trenem, który dziś jest konieczny, bo się oko przyzwyczaiło łatwo do nowej a ładnej, choć niepraktycznej mody; stan długi, rękawy wysokie czyli buffaste, oto fason dzisiaj używany powszechnie. Fulary tak bardzo modne, z wysokich cen dawniejszych zeszyły na przystępne, fabryki więc nowości dały swym eleganckim klientom coś nowego, a tą nowością są lekkie „faile“ z rzucanymi grochami, pastylkami i t. p., które nosić będą starsze damy całe lato. Są także w jedwabiach kraty nieznane, w kolorach dotąd nieznanych, niepraktykowanych, gazy haftowane lub w pasy. Wszystkie te nowości w jedwabiach pokazywał nam pan Makowski, nie będziemy je opisywać, bo kto potrzebuje, zastosuje gust do wymaganych okoliczności wieku a szczególnie kieszeni.

Suknie formy średnich wieków o długich baskinach z aksamitnymi rękawami, haftowanymi złotem lub srebrem, robiły furorę tej wiosny w Paryżu. Wiele dam nie lubi nosić obcisłych sukien rzeczywiście trudnych i niewygodnych w noszeniu, upodobały więc długie z odcinaną baskiną żakiety „à la Louis XIII“ i takie noszą z materiału sukni, zdobiąc je jak staniki bluzką lub kamizelką z gazy, koronki lub tym podobne. Już to prawda, że wkładanie sukni odrazu, to jest spódnicy w połączeniu ze stanikiem jest bardzo niewygodną modą, można jednak tak urządzić suknię, aby była oddzielnie, a pomimo to nie było znać, gdzie się zapina, o co właśnie dziś głównie chodzi. Będziemy okryte haftami na wszystkich szwach i brytach, tak bardzo hafty są noszone, tylko przy sukniach fularowych zastępują je gipiury, wszywki koronkowe, oraz stare koronki cienkie; krata jest tak modną, że płócienna nawet dziś robią w szkocką kratę w niewidzianych dotąd kolorach.

W sezonie letnim, oprócz zawsze na czasie będących ślicznych kapotek fantazyjnych, dziś piękniejszych jak kiedykolwiek, — największą wziętością cieszą się okrągłe-tiulowe z bukietem aksamitnych bratków, które są kwiatem dziś „en vogue“ najwięcej w użyciu w Paryżu — kapelusz tiulowy, nie rzucając cienia na twarz, bo nie powinien być zbyt duży, doskonale uwydatnia owal twarzy i dobrze ubiera głowę. Kolorowa słoma wyszła z użycia i dziś nosi się tylko czarna lub złoto odcienia.

W tych dniach odebrałam dwa listy z zapytaniem, czy maga-

zyn pod firmą „au printemps“, mieszczący się przy ulicy Erywańskiej Nr 9, nie przeniósł się, odpowiadam więc interesowanym a zapewne odlegle zamieszkałym, bo oba listy były z Cesarstwa, że magazyn wyżej wspomniany istnieje zawsze w tem samym miejscu i pod tą samą firmą, a sprowadziwszy z Wiednia bardzo dobrą krojczynię, zajmuje w swej pracowni kilkadziesiąt par rąk i jak dawniej odznacza się zawsze dobrym gustem. Widzieliśmy tam śliczną suknię z wełny francuskiej koloru ciemno-perłowego ze szlakiem w dole 20 cent. szerokim, na białem tle wrabiane pastylki „pastilles“ czyli duże grochy formy pastylek. Spódnica z przodu lekko zdrapowana, w tyle ujęta w wachlarz z fałd, stanik z tyłu plisowany, z przodu zmarszczony od boków ku jednemu bokowi, gdzie się niewidzialnie spinał na kilka haftek, pokrytych kokardami z białej szerokiej aksamitki; lekkie podłużne wycięcie szyi okalała także aksamitka, związana na karku w kokardę, fałdy sukni przytrzymywały dwa ponpony także aksamitne. Druga suknia z wełny koloru „Edisson“, miała szeroki szlak w szkocką kratę ślicznych barw, do tego żakietek mężki wyłożony aż do końca także materiałem w kratę, cały na fularze, z pod żakietka widać było skrzyżowanie jedwabne plisowane w kraty — całość była arcy-modna, nowa pomysłem i wygodą. Już to rękawy po większej części są odmienne od sukni — wiele osób nie lubi tego układu, i nie chce zrobić takiego wydatku do przeszłorocznej sukni, a jednak to najlepszy

sposób odświeżenia dawnej toalety. Właśnie widzieliśmy u pani Grąbczewskiej śliczną suknię odświeżoną w ten sposób. Była to suknia wełniana koloru „mastic“ piaskowego, z opiętym stanikiem i rękawami gładkimi, którą trzeba było odświeżyć i odmienić. I udało się wybornie; spódnica i plecy zostały te same, z tą różnicą, że spódnice nieco podłużono i fałdy modnie ułożono. Na przodzie dano chusteczkę z miękkiego jedwabiu w dużą kratę, pokrywającą cały stanik i ujętą w pasie w szeroką klamrę zwaną „crispin“, z pod której wystają z dwóch stron niby uszka jedwabne. Napiersznik zapelniała pasmanteryja. Rękawy naturalnie w kratę krajane ukośnie wysoko podniesione w ramionach ścisnęły zupełnie rękę przy dłoni. Nowością są rękawy u żakietek z aplikacji sukiennej; — krajają się rękawy z dwóch kolorów sukna, kładąc jedne na drugie; następnie podług oznaczonego deseni u wycina się wierzchnie sukno, a brzeg deseni przymocowuje za pomocą rzadkiego obdziergania. Bardzo to ładnie i oryginalnie nowo wygląda.

Parasolki, najmodniejsze są morowe lub z „faillie“ wszywką z koronki ozdobione, jednak ta wszywka stosuje się tylko do czarnych lub białych.

Przy prostych i skromnych tegorocznych kostiumach spódniczki zawsze bardzo bogate na zimniejszą porę, jedwabne, haftowane, naszyte koronkami i wstążkami; na gorące dni pod lekkie tkaniny fularowe lub satinkowe.

Wielką nowością chwili są szaliki białe lub czarne tiulowe o czernym szlaku i rzucie, które zarzucone na szyję spadają bez związania na przodzie poza kolana. Sprawdziła je pani Anna róg Marszałkowskiej i Próznej.

Słówek dodatkowe co do toalet dziecięcych — nie mam słów na podziękowanie matkom, że ubierają dzieci świeżo, ładnie, ale bez naśladowania toalet starszych, co przesadnie i wprost śmiesznie wygląda. Do tej całej swobody ubrania należą jeszcze skarpetki, które ten mały świat nosi przy pantofelkach, pozostawiając gołe łydki, co i dla zdrowia i dla lekkości w bieganiu bardzo wygodne.

L. C.

Napiersznik wykonany szydełkiem.

Rycina Nr 3 w Bl. Nr 22.

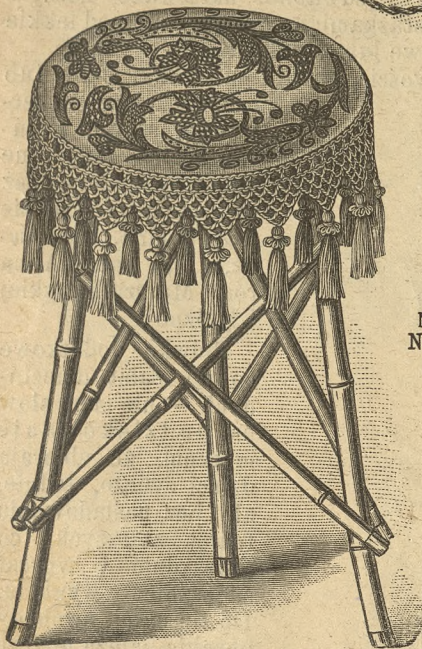
Napiersznik? wykonany cienką drutową bawełną „estremadura“ ściąganiem ścisłym, otoczony przezroczystym szlakiem i rzędem zębów. Rozpocząć od dolnego brzegu szlaku przezroczystego, na założeniu 91 oczek jak następuje: 1 kolej: 3 oczka opuścić, *, 7 słupków w następ. o., 2 o. opuścić, 2 ściśle łań. o. w następ. 2 o., 2 o. opuścić, od „powtórzyć; 1 ści. łań. o. w 3 z rzędu o. — 2 kolej: powracając po drugiej stronie oczek założenia, ciągle na przemian: 7 sł. w te same ocz. w których przerobiono 7 ostat-



Nr 1. Suknia z kaszmiru i mory (do ryc. Nr 37 w Bl. Nr 24)

Nr 2. Suknia podróżna z beżu (do ryc. Nr 24). (Krój i op. pierw. str. tabl. Nr 1, fig. 1—13).

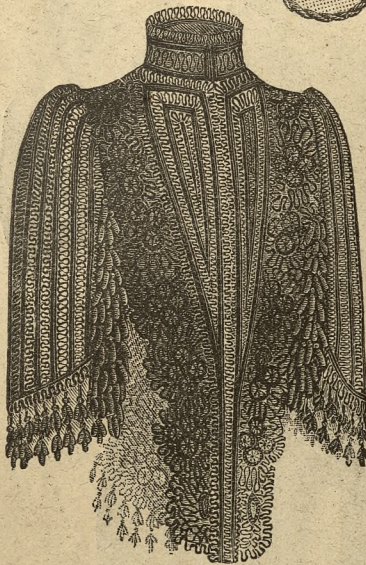
nich sł., 2 ścis. łań. o. w o., w którym przedtem przerobiono 2 ścis. łań. o., nakoniec 1 ści. łań. o. w o. znajdujące się przed 1 słup. poprzedniej kolei. Nitkę umocować i obciąć. — 3 kolej: (ta i następne 6 kolei wykonywać ciągle tam) 7 pow. o., 1 pół sł. w o., w którym przerobiono ostatnie o. poprzedniej kolei, 8 pow. o., potem ciągle naprzemian: 1 pół sł. w środkowe o. następ. 7 słup. pierwszej kolei, 6 pow. o., ale dla uwydatnienia zęba, z obydwóch stron środkowej figury należy wykonać zamiast 6 pow. o. po 9 pow. o. a dla drugiego rogu 8 pow. o., poczem 1 pół sł. w 1 o. założenia, 7 pow. o. — 4 kolej: ciągle 1 ścis. o. w każde ocz., ale dla przybrania oczek należy w 3 i 6 pierwszych oraz ostatnich 8-miu pow. o. wykonać 2 ści.



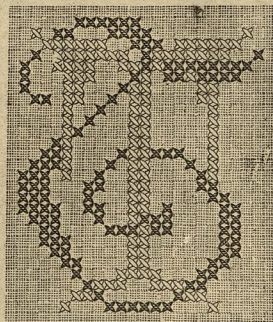
Nr 3. Stołek ogrodowy albo balkonowy (do ryciny Nr 4).

o. a w pół. sł. w zębie 3 ścis. o. — 5 i 6 kolej jak poprzednia, ale w 6 kolej w rogu nie przybierać oczek. — 7 kolej: 1 ścis. o. w 2 z rzędu ocz., potem ciągle na przemian: 9 pow. o., 4 o. opuścić, 1 ścis. o. w następ. o., w zębie zaś tylko 3 o. opuścić. — 8 kolej: ciągle 9 ścis. o. w środkowe 7 następ. łuku a mianowicie w środkowe tychże 3 ścis. ocz. — 9 kolej: jak kolej poprzednia. Rozpocząć po drugiej stronie roboty ciągle tam i napowrót ściegi ścisły. — 1 kolej: 2 ścis. łań. o. w ostatnie o. 4 i 5 kolei szlaka, potem ciągle naprzemian: 6 pow. o., 1 pół sł. w środkowe ocz. następnych 7 sł. drugiej kolei, z dwóch jednak boków środka, za-

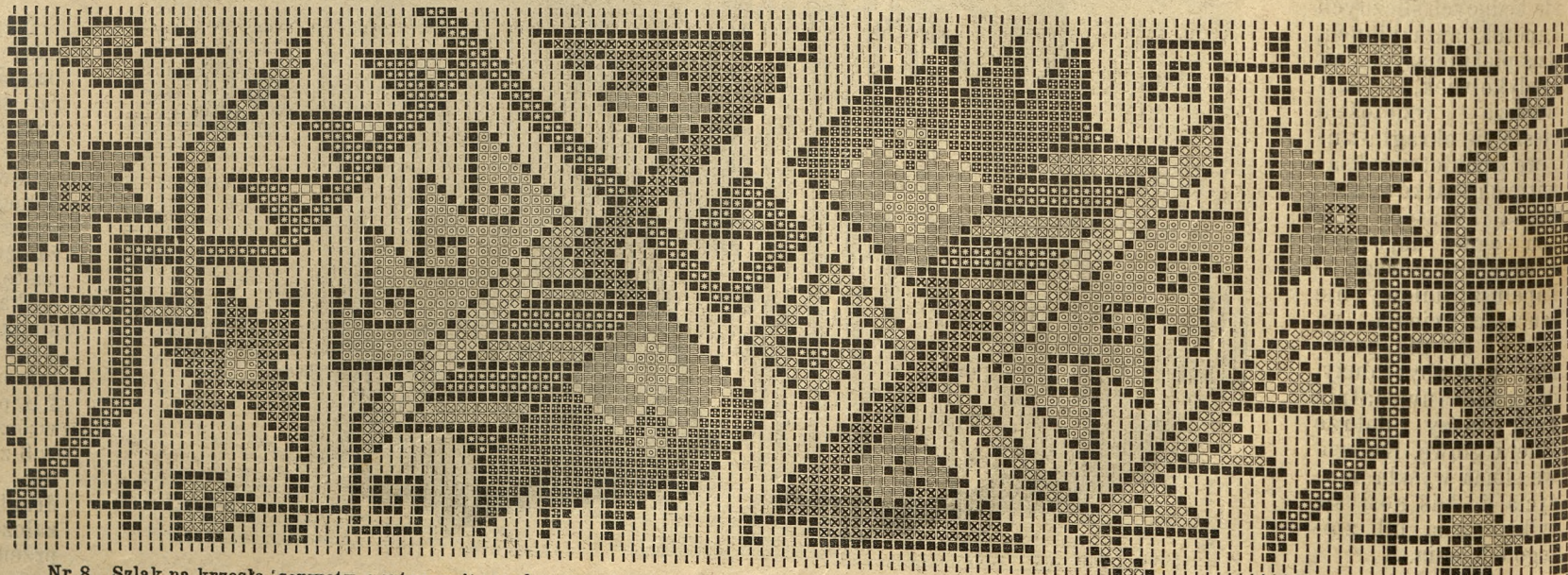
Nr 4. Haft do Nr 3 (wielkość naturalna).



Nr 6. Mantylka z pasmanterii (do ryc. Nr 15). Op. odwr. str. tabl.



Nr 7. Znak haftowany (robota krzyżowa).



Nr 8. Szlak na krzesła, serwety, portyery itp. (robota krzyżowa). ■ Ciemno-brązowy, ■ 1-szy ciem. pons., ■ 2-gi. jaśn., ■ 3-ci najjaśn. pons. ■ Ciem. niebies., ■ jasno-nieb., ■ oliwk., ■ orzechowo-brąz., ■ żółty, ■ tło.



Nr 5. Suknia podróżna z beżu. (Opis pierw. str. tabl.).

miast 6 wykonać tylko 4 pow. ocz., nakoniec 6 pow. ocz. i 2 ścis. łań. ocz. w 1 ocz. 4 i 5 kolei szlaku. — 2 kolej: 1 pow. o., ciągle 1 ścis. o. w tylną żyłkę każdego g. — 3 kolej: 3 pow. o., ciągle 1 sł. w tylną żyłkę każdego o. poprzedniej kolei. Dla uwydatnienia formy należy pierwsze i ostatnie 3 o., oraz środkowe 5 sł. przerobić razem. — 4 kolej: 1 pow. o. ciągle 1 ści. o. w tylną żyłkę każdego o. poprzed. kolei. Powtórzyć 14 razy 3 i 4 kolej, w drugim zaś do 5 powtórzenia przy rozpoczęciu i zakończeniu nie ujmować oczek, a w następnych powtórzeniach przerabiać razem 3 sł. — Co do rzędu ząbków w górnym brzegu napierśnika, wykonać 3 koleje jak kolej 7 i 9 szlaku. Ramioneczka rozpocząć na założeniu 191 ocz., które złączyć w kółko 1 ści. łań. o. Wykonać 27 figur podług deseni

1 i 2 kolei szlaku; dla uwydatnienia formy w ostatniej figurze 1 kolei, zamiast 7 sł. wykonać 11 sł. a w drugiej kolei w odpowiedniej figurze, zamiast 7 sł. tylko 3 sł., następnie otoczyć 7 kolejami, jak kolej 3 do 9 szlaku, zwracając uwagę na kształt paszki, należy odpowiednio do formy przybierać lub tracić oczka w sposób, ażeby robota nie ściągała się.

Serwetki dziecięce (ścieg gałązkowy i krzyżowy).

Rycina Nr 4—9 w Bl. Nr 22.

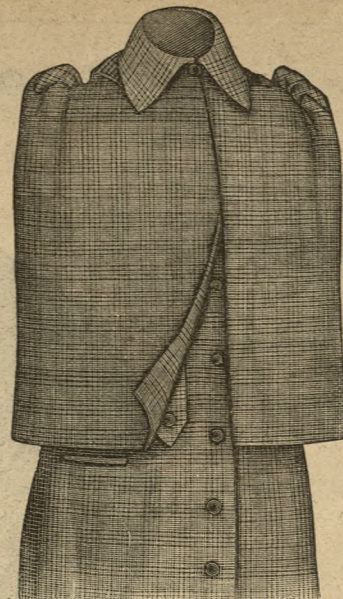
Serwetki wykonane na lnianej tkaninie koloru szarego 38 c. wysokości a 28 c. szerokości. Wycięcie szyi wykonać na 5 c. głębokości i otoczyć wązkim obrąbkim. Przenieść deseń na tkaninę podług ryc. Nr 6 i 7, haft wykonać ścięciem gałązkowym rozmaitego koloru bawełną lub jedwabiem do prania. Szlak wykonać podług ryc. Nr 4 i 5 na podkładzie z kanwy ścięciem krzyżowym.



Nr 9. Płaszcz podróżny z materiału nieprzemakalnego (do ryc. Nr 23). (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 49—55).



Nr 11. Mantylka z jedwabnej pletni. (Opis odwr. str. tabl.).



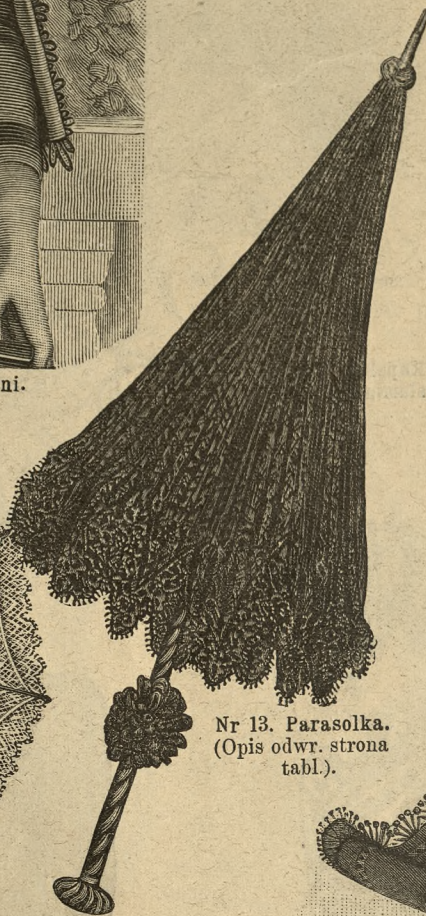
Nr 10. Pelerynka z sukna i aksamitu (do ryc. Nr 16). (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 14 i 15).



Nr 12. Parasolka „en tout cas.” (Opis odwr. str. tabl.).



Nr 14. Parasolka. (Opis odwr. str. tabl.).



Nr 13. Parasolka. (Opis odwr. strona tabl.).

ściegami bawełną ponsową i tegoż koloru jedwabiem, wewnątrz wykonać kieszonkę 31 c. wysoką a 69 c. szeroką, obszyć takową w górnym brzegu brązowego koloru pletnią wełnianą, w dolnym zaś wykonać fałdę odpowiedniej głębokości. Otoczyć futerał pletnią brązową. Należy również urządzić oddzielną kieszonkę na parasole. Wierzchnią część zaopatryć w dziurki i na futerał przyszyć odpowiednie guziki do zapinania. Metalowa rączka i skórzane paski wykończają całość.

Koszyczek do robót, ozdobiony haftem.

Ryc. Nr 33 w Bl. Nr 22. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 64).

Koszyczek częścią z trzciny naturalnego koloru, częścią złożony — otwierany z dwóch stron jak wskazuje ryc., wewnątrz wyklejony materiałem jedwabnym koloru pawiego, z wierzchu zaś ozdobiony dwoma częściami trójkątnej formy, pluszu pawiego haftowanego tegoż koloru jedwabiem w kilku cieniach — złotym sznurkiem i sznelą koloru pawiego. Złoty grubszy sznurek i kwasty



Nr 15. Mantylka z pasmanterii (do ryc. Nr 6). (Opis odwr. str. tabl.).

Futerał na pleed, ściąg gałązkowy, płaski, rybiej łuszczy i pocztowy.

Rycina Nr 32 w Bl. Nr 22. (Deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 29—31).

Skrajać z grubej lnianej tkaniny koloru szarego część 80 c. wysoką a 65 c. szer. oraz wierzchnie złożenie 13 cent. wys., zeszyć części. Przenieść deseń podług fig. 29—31 i wykonać haft wymienionymi



Nr 16. Pelerynka z sukna i aksamitu (do ryc. Nr 10). Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 14 i 15.

jedwabne wykończają całość.

Ząb, robota wiazana, 2/3 części oryginalnej wielkości.

Rycina Nr 36 w Bl. Nr 22.

Ząb wykonany bawełną koloru żółtawego, służyć może pojedynczo lub w przedłużeniu do ozdoby koszyczków, kominków itp. Deseń jest tak wyraźny, że niewidzimy potrzeby opisu szczegółowego.

Suknia z kaszmiru i mory.

Rycina Nr 1 (do ryc. 37 w Bl. Nr 24).

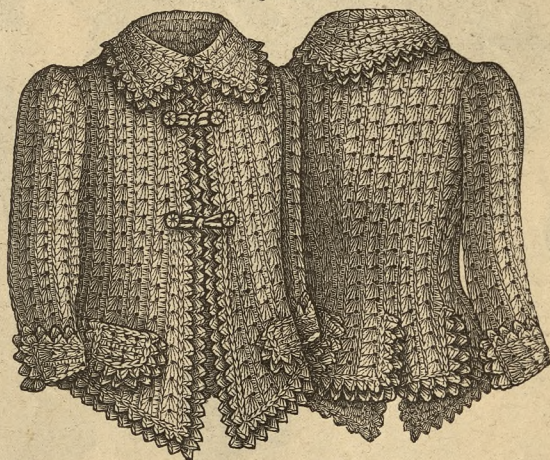
Spódnica z podszewki 105 cent. dł. w części tylnej 110 c. w przedniej a 210 c. obwodu, pedszyta muslinem do połowy wysokości, w górnej części zaopatrzona tasiemkami do ściągania. W doinej części obszyta na 7 c. wysok. kaszmiem koloru stalowego. Część przednia 95 c. szer. z mory tegoż koloru na 15 cen. odległości od bocznego brzegu ułożona w 2 ku środkowi zwrócone fałdy i jak w



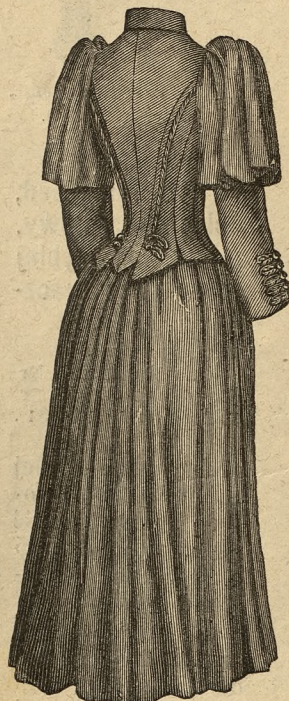
Nr 17. Kapelusz z pletni słomianej.

Nr 18. Kapelusz z bastu i fantazyjnej pletni.

Nr 19. Kapelusz z koronki.



Nr 20 i 21. Kaftanik dla panienki od 2—3 lat (robota szydełkowa) do ryc. Nr 8 w Bl. Nr 24. Kr. pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 37—42.



Nr 24. Suknia z beżu. (Tył i do ryc. Nr 2).



Nr 23. Płaszcz podróżny z materiału nieprzemakalnego (do ryc. Nr 9). Kr. i op. odwr. str. tabl.

górnym brzegu tak wzdłuż przyszyta do spódnicy. Dalej falbana z kaszmiru 220 c. obwodu, na którą materiał należy skrajać poprzecznie. W tylnej części wykonać rozporek a w przedniej ozdobić pasmanterią z jedwabnego czarnego sznureczka 5 c. szer. Stanik podług ryc. spięty na hafteczki na lewym boku. Rękawy bufiaste.

Obiad na Niedziele.

1. Zupa rakowa.
2. Pieczeń à la Radecki z młodeimi kartoflami.
3. Kalafior.
4. Kurczęta z mizeryą.
5. Śmietana bita z marenkami.

UWAGA.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze służy też do Nr 24.

Nr 22. Suknia z „surah“ gładkiego i w kraty. (Opis odwr. str. tabl.).